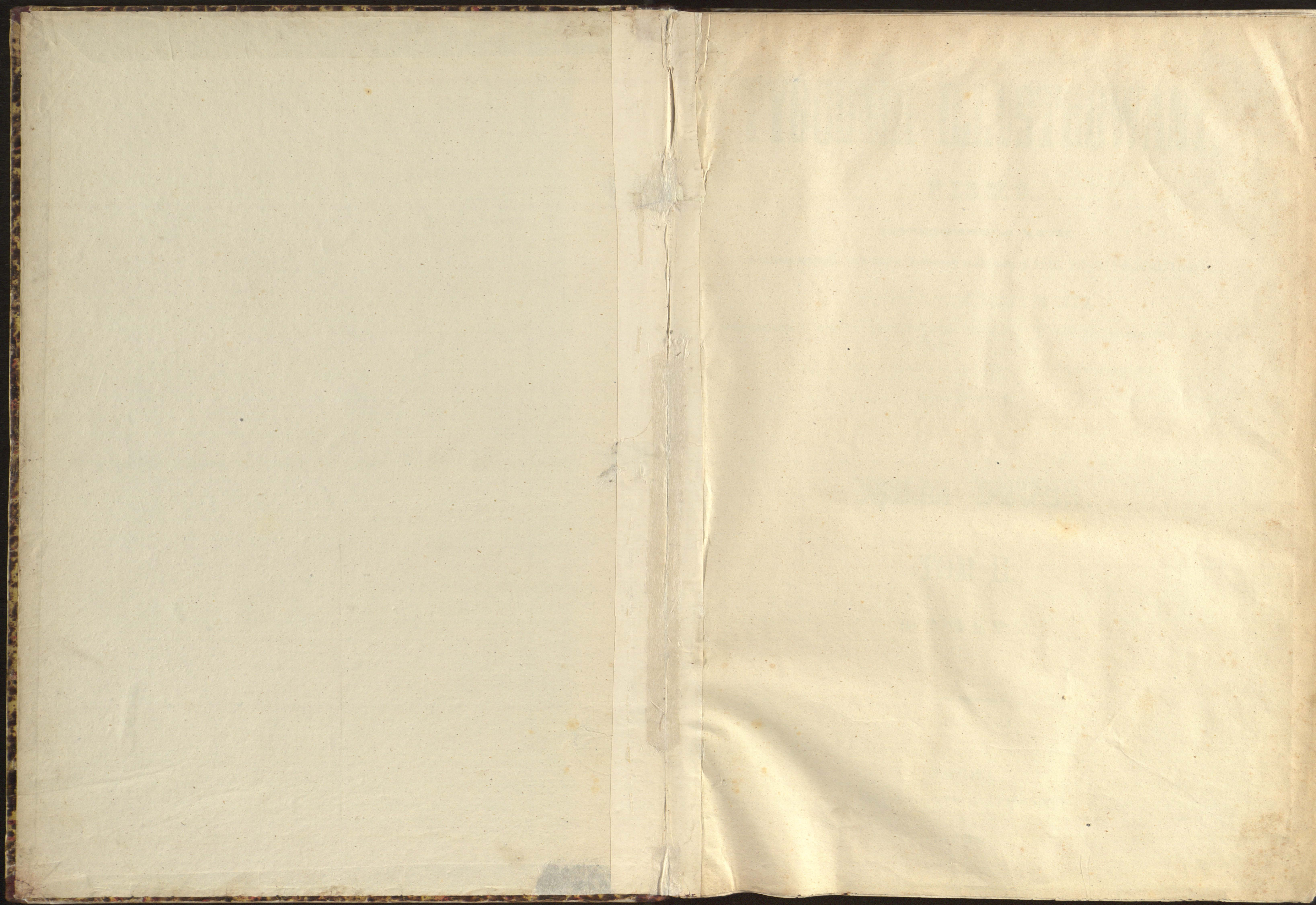


100

IK
VI



TYGODNIK ILLUSTROWANY,

P I S M O

OBEJMUJĄCE

ważniejsze wypadki społeczne, życiorysy znakomych ludzi, zabytki i pamiątki krajowe,

PODRÓŻE, POWIEŚCI I POEZYJE,

SPRAWOZDANIA Z DZIEDZINY SZTUK PIĘKNYCH, PIŚMIENICTWA, NAUK PRZYRODZONYCH, ROLNICTWA,
PRZEMYSŁU I WYNAŁAZKÓW,

SZKICE OBYCZAJOWE I HUMORYSTYCZNE, TYPY LUDOWE, UBIORY I KOSTIUMY, ARCHEOLOGIA

i t. d. i t. d. i t. d.

SERYA DRUGA.

TOM II.

Od N^{ro} 26 do N^{ro} 52.

WARSZAWA.

Nakładem i drukiem Józefa Ungra.

1868.

39076

TYGODNIK ILUSTRACYJNY

1868

WARSZAWA

Wydawca: [illegible]

Wydawca: [illegible]

Wydawca: [illegible]

Wydawca: [illegible]

1868

Zapozwoleniem cenzury rządowej.
Warszawa dnia 11 (23) grudnia 1868 r.

TOM II

1868

WARSZAWA

Wydawca: [illegible]

1868

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH

W TOMIE II SERII DRUGIEJ

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

od 1 lipca do 31 grudnia 1868 r.

Zyciorysy ułożone są alfabetycznie, inne przedmioty porządkiem paginacji.

Ilość drzeworytów.	Stronica.	Ilość drzeworytów.	Stronica.	Ilość drzeworytów.	Stronica.
I. ŻYCIORYSY.					
1.	Bogusławski Stanisław, p. W. Szymanowskiego	241	1.	Piaskarze warszawscy, p. W. Gersona	29
1.	Brandt Józef, p. Ludwika Jenikego	80	1.	Stróż folwarczny, p. L. Kunickiego	56
1.	Cegielski Hipolit, p. F. M. S.	278	1.	Faktor małego miasteczka, p. tegoż	57
1.	Giebułtowski Stanisław, p. J. K. Turckiego	205		O podaniach ludu z okolic Warszawy, p. Mściława Kamińskiego	58, 71, 83
1.	Głowacki Jan N., p. Wł. Zawadzkiego	49	1.	Żebracy z okolic Mołodeczny, p. E. T.	160
1.	Gryglowski Aleksander, p. L. Jenikego	80	2.	Nasze typy, p. L. Kunickiego	176
1.	Hryniewicz Stanisław, p. dra Adamowicza	37	1.	Przy studni, p. Przyszychowskiego	181
1.	Kamiński Mściława, p. W. Korotyńskiego	236		Co słyszałem, p. J. K. Ł.	248
1.	Neryng Władysław, p. W. Grochowskiego	217	1.	Tracze warszawscy, p. W. Gersona	268
1.	Popliński Antoni, p. F. M. S.	193	V. POWIEŚCI I OPOWIADANIA.		
1.	Tyszkiewicz Konstanty, p. W. Korotyńskiego	289		Strach ma wielkie oczy, p. W. Poncet de Sandon	7, 20, 32
1.	Wiszniewski Michał, p. tegoż	1, 15		Pomiędzy Scyllą a Charybdą, powieść p. W. Morzkowską	11, 23, 35
1.	Wysocki Stanisław, p. L. Jenikego	20		Babakai (podanie węgierskie), p. W. Zielińskiego	18
1.	Zdanowicz Aleksander, p. A. Bądzkiewicz	145		Honor mieszczański, p. Wielisława	43, 59
II. OPISY MIEJSCOWOŚCI, KOŚCIOŁÓW, ZAMKÓW I GMACHÓW.					
1.	Pałac w Śmiełowie, p. Świdwę	28		Silni i słabi, powieść p. Wł. Bartkiewicza 70, 81, 91, 105, 118, 128, 140, 152, 165, 173, 189, 203, 215, 225.	
2.	Biecz i jego zabytki, p. A. K.	40	37.	Mąż upatrzonego, powieść p. Jana Zacharyasiewicza, z ilustracjami A. Zaleskiego	184, 196, 208, 220, 232, 244, 255, 271, 279
5.	Zakład wód mineralnych przy ogrodzie Krasińskich, p. H. Skimborowicza	52		Uroczą, powieść p. T. T. Jeża	239, 251, 263, 275, 287, 299, 311
3.	Druskienniki, p. A. Sołtana	88		Popielaty warkocz, p. Wielisława	304
6.	O nadbrzeżnych położeniach Wisły, p. L. hr. Grabowskiego	100, 112	VI. PODRÓŻE.		
1.	Kościół w Bełżycach, p. W. Zielińskiego	137		Wycieczka na Łomnicę, p. pr. Janotę	46, 57, 69, 83, 96, 102, 114
3.	Kalisz, p. F. M. S.	148	4.	Wspomnienia z Ojcowa, p. Wł. L. Anczyca	76
1.	Kaplica ogródcowa we Lwowie, p. W. Zawadzkiego	164		Przejazd przez szczyty Kaukazu, p. K. Łapczyńskiego	161, 176, 190, 199, 212
1.	Kościół parafialny w Złotopolu, p. T. Padalicę	188	VII. POEZYJE.		
1.	Ujazdów, p. F. M. S.	230		Fragment, p. W. Gomulickiego	3
1.	Bydgoszcz, p. W. Trelewskiego	255		W ciszy, p. K. Ujejskiego	11
1.	Kościół paraf. w Wilkowyszkach, p. E. Leja	284	1.	Nie łapcie ryb przed niewodem, p. Mirona	13
2.	Zwaliska zamku w Drzewicy, p. W. Sz.	292	1.	Pogrzeb cygański, p. Floryana	25
1.	Meczet w Winksznupiu, p. A. Osipowicza	294		Do poety J. K., p. J. Słowackiego	27
1.	Kościół w Tarnopolu, p. Wiktora hr. Baworowskiego	301		Zgon pieśniarza, p. Fr. Gumowskiego	34
III. PAMIĄTKI HISTORYCZNE, POMNIKI, STAROŻYTNOŚCI I ZABYTKI.					
1.	Pomnik Jachowicza, p. J. Heppena	4		Cieniom K. Szajnochy, p. A. E. Odyńca	43
4.	Pamiętki po J. Kochanowskim, p. E. Rucińskiego	63		Wiersh niedrukowany Zyg. Krasińskiego	55
1.	Płaskorzeźba na wikaryi św. Michalskiej, p. W. Gersona	160	1.	Diabeł, p. K. Pieńkowskiego	73
IV. POSTACIE PRZESZŁOŚCI, ZWYCZAJE, PODANIA I TYPY LUDOWE.					
2.	Kujawiacy, p. Z. Glogera	15		Biały gołąb, p. Mirona	82
1.	Ataman i żniwiarze, p. Przyszychowskiego	17		Obrazek z Czarnolesia, p. A. Hanicką	87
				Odpowiedź, p. tegoż	107
				1. Na Powązkach, p. F. Szobera	121
				Mazurek szesnastoletni, p. Maryą O.	126
				1. Siejba, p. G. Puzyninę	133
				Do gwiazdki, p. Kl. Podwysockiego	135
				1. Wiejska gawęda, p. A. Dembowskiego	135
				Smutna, p. W. Gomulickiego	151
				1. Sen Iwana Czarnego, p. K. Pieńkowskiego	157
				Teśknota, p. A. Hanicką	183
				Z krainy dźwięków, p. W. Gomulickiego	231
				Wyznanie, p. L. Sowińskiego	235
				Irena, p. Kl. Podwysockiego	249
				1. Serdeczna troskliwość, p. L. Rajsza	260
				Kobięcie, p. Fr. Gumowskiego	271
				Orszak weselny, p. J. P. Markiewicza	295
				Geniusz, p. Kl. Podwysockiego	298
				Na widok portretów Brandta i Gryglewskiego, p. Gabryelę Puzyninę	307
				Jowisz i Minos, bajka F. Mikorskiego	31
VIII. RZECZY BIEŻĄCE.					
				1. Obozowisko cygańskie, p. W. Gersona	28
				Nekrologia półroczna, p. J. Heppena	42
				Słów kilka o repertoarze, p. K. Estrejchera	91, 107, 119
				1. Pożar na Solcu, p. St. M. Rzętkowskiego	104
				1. Rakiewiczowa, p. K. Estrejchera	116
				1. Egzamin w ochronie ks. Baudouin'a, p. L. Jenikego	124
				1. Helena Modrzejewska, p. Wł. L. Anczyca	172
				1. Droga żelazna terespolsko-brzeska, p. E. Różańskiego	243
IX. PRZEGLĄD TEATRALNY p. W. Szymanowskiego,					
				„Ubody w salonie“	6
				„Przyjaciel Babolin“ i „Takie wszystkie“	46
				„Koniec dzieła chwali“	75
				„Lekcja śpiewu“	111
				„Adryanna Lecowreur“ i „Piękność uderzająca“	158
				Pierwsze wystąpienie p. Modrzejewskiej	170
				„Zbójcy“	199
				„Nasi najserdeczniejsi“	260
X. ZE ŚWIATA MUZYCZNEGO.					
				p. J. Kleczyńskiego	211, 235, 255, 298
				p. O. Kolberga	286
XI. PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.					
				Wiadomości bibliograficzne, p. J. Żepkowskiego	98, 113
				Przeгляд dzieł treści ekonomicznej, p. A. Makowieckiego	126, 143
				„Wiktorya Regina“ p. K. Kaszewskiego	201
				„Wielość światów zamieszkiwanych“ p. W. Niewiadomskiego	226, 237
				O sztuce w starożytnej Grecji, p. K. Kaszewskiego	267, 284, 292
XII. PRZEGLĄD SZTUK PIĘKNYCH.					
				Z dziedziny malarstwa i rzeźby, p. F. Fałęńskiego	261, 273, 286

XIII. KORESPONDENCJE TYG. ILLUSTR.

- Paryż, p. T. T. Jeża . . . 4, 29, 102, 117
Lwów, p. Wł. Zawadzkiego 16, 67, 150, 227 282.
Kraków, p. E. 66

XIV. ARTYKUŁY TREŚCI MIESZANEJ.

- Uniwersytet w Lahorze, p. L. Rogalskiego 23
Z turnieju szachowego 27
Rozmaitości, p. J. Blizińskiego 31
Trzy odezwy do redakcyi 41, 51, 87
Książka do nabożeństwa Mieczysława II, p. L. Rogalskiego 55
Dziewica Orleańska, p. tegoż 63
Uroczystość winobranców w Vevey . 78, 95
Od redakcyi 110, 266, 277
Urywki z dziennika, p. Bogumiłę . . . 138
Dolina Szwajcarska, p. F. M. S. 154
Piérwsze publiczne odczyty w Warszawie, p. tegoż 167
Dowód że kobiety już się tak jak dziś przed dwustu laty ubierały, p. tegoż . 171
Piérwsze kantory zleceń, p. tegoż . . . 187
Stan handlu w Warszawie do końca zeszłego wieku, p. tegoż 195
Garkuchnie ludowe, p. Al. Makowieckiego 210, 224
Kilka uwag o wpływie ojców na wychowanie dzieci, p. Józefę Żdzarską 223
Listy do W. P., p. K. Pieńkowskiego . . 227
Anglomania u nas w zeszłym wieku, p. F. M. S. 238
Pogadanki o rzeczach bieżących, p. A. Wieniarskiego 303
Kilka słów o charakteryce, p. W. Jelńskiego 310

XV. MUZYKA.

„Zropaczona“, muzyka Bohdana Borkowskiego do słów T. Lenartowicza . 127

XVI. SZKICE CHARAKTERYSTYCZNE I HUMORYSTYCZNE.

- 1. Po dwugodzinném czekaniu, p. F. Kostrzewskiego 8
1. Lekcja wstępna, p. tegoż 44
1. W handlu starzyzny, p. tegoż 68
3. W czasie żniw, p. Ks. Pillatego . . . 89, 92
1. O piątój rano na ulicy, p. F. Kostrzewskiego 125
1. W restauracyi, p. tegoż 140
1. W oborze, p. tegoż 152
6. Codzienny pracowity żywot Onuferka, p. tegoż 161
1. Spotkanie z doktorem, p. tegoż . . . 200
1. Sprytny synek, p. tegoż 212
1. Kassa teatralna w dzień wystąpienia pani Modrzejewskiej, p. tegoż 224
1. Chwała literacka, p. tegoż 248
1. Szczęśliwa młodość, p. tegoż 268
1. Uczony papa, p. tegoż 308

XVII. RYSUNKI BEZ ARTYKUŁÓW I KOPIE OBRAZÓW.

- 1. Zabawa kwiatowa w ogrodzie Saskim, p. A. Zaleskiego 5
1. Dzieci góralskie, kopia obrazu W. Gersona 16
1. Puchar srebrny z turnieju szachowego, p. W. Gersona 32
1. Teatr na wyspie w Łazienkach, p. Dymitrowicza 52

- 1. Książęta mazowiecki i wrocławski, p. J. Matejkę 64
1. Główne wejście do biblioteki Jagiellońskiej, p. Gryglewskiego 137
1. Pomniki Cellarych, p. tegoż 149
1. Przemysław ks. kujawski, p. Matejkę . 172
1. Dzieci góralskie igrające ze światłem, kopia obrazu W. Gersona 253
1. Dojeżdżacz ukraiński, kopia akwareli J. Kossaka 265
1. Kościół św. Anny w Krakowie, p. Gryglewskiego 269
1. Pomniki Montelupich w Krakowie, p. tegoż 281
1. Powrót z jarmarku, kopia obrazu J. Brandta 304
1. Boże Narodzenie, p. J. Kossaka . . . 305

XVIII. DRAMATA I KOMEDYE.

Nieśmiały, komedia K. Kaszewskiego, 131, 142, 155, 167, 179.

XIX. BAJKI KRASICKIEGO, ilustrowane p. A. Zaleskiego.

- 1. Stary pies i stary sługa 61
1. Strumyk i fontanny 85
1. Szczurek i matka 169

XX. LISTY LENARTOWICZA o sztuce i literaturze włoskiej 18, 114, 130

XXI. KRONIKA.

Zagraniczna, p. J. I. Kraszewskiego, 10, 54, 89, 178, 213, 307.
Tygodniowa, p. W. Szymanowskiego, w każdym numerze.

XXII. NAJNOWSZE ODKRYCIA I WYNAŁAZKI, p. W. Niewiadomskiego 47, 148, 295

XXIII. Przegląd polityczny, szachy i rebus w każdym numerze.



N^o 27.

Prenumerata w Warszawie:
roczn e rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 4 lipca 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3½.

TOM II.

Treść numeru. Michał Wiszniewski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Pomnik Jachowicza, na cmentarzu pod Warszawą (z drzeworytem). — Korespondencya Tyg. Illustr. z Paryża. — Zabawa loteryjno-kwiatowa w ogrodzie Saskim (drzeworyt). — Przegląd teatralny. — Strach ma wi lkie oczy, opowiadanie z prawdziwego zdarzenia, skreślił Wacław Poncet-de-Sandon (d. c.). — Szkice z życia warszawskiego (drzeworyt). — Z turnieju szachowego. — Rebus. — Kronika zagraniczna, przez J. I. Kraszewskiego. — W ciszy (wiersz Kornela Ujejskiego). — Pomiedzy Scyllą a Charybdą, powieść p. Waleryą Morzkowską (dalszy ciąg). — Dodat. nadzw. Sierota, obrazek z życia amerykańskiego (d. c.)

Michał Wiszniewski.

Liczne w dziejach trafiają się przykłady, że po świetnym zawodzie znakomitego męża, spada na jego czyny zasłona, a sam znika z widowni, by samotnie w zapomnieniu zdążyć do kresu ziemskiej pielgrzymki. Zwykle atoli śmierć podnosi zasłonę niepamięci, aby u trumny wymierzono sprawiedliwość: wieńce, które na skroniach żyjącego spocząć były powinny, składają się na grobie zmarłego; spólcucie co dni tęsknoty osłodzić miało, wylęwa się w napisach grobowego kamienia.

Z Wiszniewskim inaczej się stało. Po dwudziestu dręczących latach dobrowolnego wydalenia się, umiera gdzieś na obcej ziemi, a na arenie dziennikarskiej tego samego miasta, w którym najzaciejsze prace wykonał, u progów uniwersytetu, w którym przez lat szesnaście kapłaństwo nauki piastował, zapala się szermierka, czy umarł przed parą miesięcy, czy też z górą przed dwoma laty. I kto nam zareczy że ta poswarka około daty zejścia wsławnego profesora i pisarza nie toczy się właśnie pomiędzy jego uczniami? Nic się jednak nie dzieje bez przyczyny, i raczej nad tém ubolewać, niżeli dziwić się przychodzi.

Urodził się Michał Wiszniewski 1794 roku, w małej mieścinie galicyjskiej Firlejowie, z domu, który pretensy heraldyczne spadkobiercy jego imienia od niebawalnych książąt prusko-litewskich wyprowadzić usiłują. Nauki pierwiastkowe pobierał we Lwowie, dalsze zaś w liceum krzemienieckim.

Po przejściu kursu nauk w Krzemieńcu, Wiszniew-

ski w r. 1818 wybrał się w podróż po Włoszech, Francyi i Anglii, aż nareszcie dla uzupełnienia nauk

szkocka, wykładana w tamecznej wszechnicy, uznająca prosty zdrowy rozsądek za kryterium prawdy, mniej zaprzątająca się teorią myślenia, a więcej życiem praktycznym, moralnością i psychologią, nadała umysłowi Wiszniewskiego kierunek, który na całym jego życiu piętno niezatarte wycisnął. Pilne, a nawet drobiazgowo badanie szczegółów, nieuganianie się za systematycznością układu, a nawet rzecz można rozmyślnie unikanie systematyczności, by forma nie zabiła rzeczy; rzadkie wybieganie w sfery subtelnej abstrakcyi, po których głębi chłodny rozsądek nurtować nie umie; unikanie jako ciężkiego grzechu myśli niedonoszonych i mglistych wyrazów: — wszystkie te rysy charakterystyczne owocowej filozofii szkockiej odbiły się zarówno w życiu, jak i w pismach Wiszniewskiego. Raz tylko w latach późniejszych wspaniałość systematu natury nakreślonego przez Szellinga, uniosła go zapalem, lecz żadnych śladów trwałszego wpływu po sobie nie zostawiła.

Wróciwszy z Edynburga do kraju, powołany został Wiszniewski do Krzemieńca na profesora filozofii, którą też od r. 1823 do końca 1824 w tamecznym liceum wykładał. Nie wiemy powodu, dla którego tak rychło tę katedrę opuścił; prawdopodobnie sprzeczność wyznawanych przezeń zasad naukowych, z krzewiącemi się podówczas w Krzemieńcu teoriemi szkoły filozoficznej Kanta, wpływ na to nieposłędni wywarła. Cóżkolwiekby, pożegnawszy publiczny zawód nauczycielski, Wiszniewski przyjął w r. 1825 obowiązek prywatnego nauczyciela i odbył powtórna podróż za granicę do Włoch i Francyi. Z tej epoki pochodzi piękne jego dziełko pedagogiczne: *Pamiętka po dobrym ojcu*, ułożone dla swojego wychowawca jako wskazówka młodzianowi, który skończył już



Michał Wiszniewski. (Podług rysunku prof. W. Luszczkiewicza w Krakowie.)

uniwersyteckich zatrzymał się w Edynburgu. Widok tego wysoce przemysłowego miasta rozniecił w nim zamiłowanie do ekonomii społecznej, a filozofia

działające jego dziełko pedagogiczne: *Pamiętka po dobrym ojcu*, ułożone dla swojego wychowawca jako wskazówka młodzianowi, który skończył już

szkoły i samodzielnie zastanawiać się nad życiem poczyną. Autor, przemawiając do już rozwiniętego umysłu, na ścisłych wymaganiach rozumu gruntuje przepisy dalszego o własnych siłach kształcenia się w naukach i obyczajności. Teodozy Sierociński wydał tę książkę w r. 1825, bez wyrażenia nazwiska autora, a następnie dwa razy jeszcze ponawiał wydanie; lecz przekształcił pracę Wiszniewskiego różnymi dodatkami. Książka ta pod niejednym względem iść może o lepsze z podobnego rodzaju dziełami Silvia Pelica i Droza.

Wróciwszy powtórnie do kraju, po otrzymaniu umówionego wynagrodzenia za przewodnictwo młodemu uczniowi, nabył Wiszniewski posiadłość w gub. wołyńskiej i lat kilka poświęcał się roli. Wzorowe gospodarstwo, któremu się we Włoszech północnych, w Anglii i Szkocji przypatrywał, skłoniło go do naśladowania tego pięknego przykładu na własnym kawałku gruntu. Zawiódł się przecie, jak wielu innych którzy po nim w też tropy zdążali: nie obrachował bowiem że inny był stosunek rąk roboczych i kapitałów ruchomych do roli, oraz cen do kosztów produkcji i przewozu w kraju, a inny za granicą; zatem gospodarstwo wzorowe, wznaczeniu włoskiemu lub angielskiemu, nie mogło być wtedy, jak i dziś jeszcze jest, korzystnym na żyznych niwach okolic Horynia. Zawiedziony w oczekiwaniu Wiszniewski, otrzymał wezwanie na profesora uniwersytetu Jagiellońskiego, porzucił rolę i przeniósł się w r. 1830 do Krakowa. Tam znowu w swoim znalazłszy się żywiole, wykladał do r. 1846 historią powszechną, historią literatury powszechnej, oraz literaturę polską, a jednocześnie z całym zapalem poświęcił się piśmiennictwu.

W r. 1834 ukazało się pierwsze z nazwiskiem Michała Wiszniewskiego dzieło: *Bakona metoda tłumaczenia natury*. Za osnowę tej pracy posłużyło mu jedno z obszernych dzieł filozoficznych Bakona werulamskiego, a mianowicie *Novum Organon Scientiarum*, którego myślą zasadniczą jest, iż jedynie metoda indukcyjna, powszechnie dziś przewodnicząca badaniom przyrodzenia, prowadzi do rzetelnych odkryć. Takie twierdzenie dziśby nikogo nie uderzyło, lecz w r. 1834 potrzeba było rzeczywiście sporęj miarki odwagi cywilnej, żeby w obec przeciwnego prądu filozoficznego wystąpić z zapomnianym od lat dwustu dziełem. Wiszniewski szczegółowo w niem podaje sposoby stosowania metody indukcyjnej Bakona do badań naukowych; wszelako nie idzie na oślep za przewodnikiem, owszem zarzuca mu nawet zbyt dużą stronność dla swojej metody, zbyt częste wystrzeżenie się uogólniania. Powiada, że tylko połączenie dwoistej drogi poznawania natury: postępowanie od zmysłów do rozumu i od rozumu do zmysłów, czyli połączenie analizy i syntezy, do rozleglejszych prawd i nieomylną pewności prowadzi. Pod tym względem, biorąc rzeczy ogólnie, miał słusność, lecz się omylił, kiedy wymarzoną w głowie, nie zaś z badań ścisłych wysnutą filozofią natury Szellinga, uznał za wydoskonalenie indukcyjnej metody Bakona. Właśnie między tym dwojgiem leżała i leży przepaść niezgłębiona.

Parę kartek Bakona w innym jego dziele, podał Wiszniewskiemu myśl napisania książki, którą dwa razy wydawano, w r. 1837 i 1842, p. t. *Charaktery rozumów ludzkich*. Jest to w rozciąglejszym znaczeniu traktat psychologiczny, częścią na przykładach dowolnie obieranych, częścią zaś na charakterystyce umysłu osób historycznych osnuty. Trudno zaiste o powabniejszy wykład rzeczy, z siebie dość zmuśnej i twardej dla umysłu niewprawionego w oderwane myślenie; dlatego też książka o której mowa daleko życzliwsze znalazła przyjęcie niż poprzedzająca. Usterki jej, wypływające ze zbyt drobnowzrostu podziałów, dowcipnie, choć arcy-zawiliym stylem wytknął Łętowski w *Nauce poznawania ludzi*. Wszakże co do ogólnych zasad, krytyk rozminął się z myślą autora: ten kręślił fizyognomią umysłów, tamtemu zaś chciało się kazania; niedziw tedy, że się zrozumieć nie potrafił.

Istotny zarzut, jaki pomimo wielkiej jasności w roztrząsaniu szczegółów, zrobić przychodzi tak *Metodzie Bakona*, jaki *Charakterom rozumów*, jest zarzut rażącego nieładu w układzie. Daleko wyżej pod tym względem stanęła inna, ostatnia praca filozoficzna Wiszniewskiego, wydana w roku 1848: *O rozu-*

mie ludzkim, jego siłach, przymiotach i sposobach kształcenia. Jest to porządny, a nader przystępnie wyłożony traktacik z psychologii i logiki w dawniejszym znaczeniu, przeznaczony „dla pożytku kształcącej się młodzieży obojczy”. Dziełko to niejedną kartą przypomina *Filozofią umysłu ludzkiego* Jana Śniadeckiego, co tęp się zresztą tłumaczy, iż obaj na podstawach szkoły filozoficznej szkołkiej i jej protoplasty Bakona budowali. Należyty porządek w układzie, nieudana popularność, zasadzająca się na rozważaniu trafnych, pod oczy podpadających przykładów, wzorowa ścisłość, a zarazem przystępność języka, zalecają tę pożyteczną pracę Wiszniewskiego. Gdyby w szkołach średnich i pensjach żeńskich przyjąć miało kiedykolwiek do wykładu pierwiastków nauki filozoficznej, trudnooby o lepszy podręcznik do zapoznania się z władzami i drogami umysłu.

Wszelako większą daleko niż dziełami filozoficznymi, położył Wiszniewski zasługę swoimi pracami nad historią piśmiennictwa polskiego. Rozpoczął je w latach 1835—1837 wydaniem *Pomników historii i literatury polskiej*, których wyszło cztery tomiki, a miało być znacznie więcej. Trzy tomiki i część czwartego zapełniły drogocenne rozprawy Czackiego, które do owiej daty w rękopismach się tułały; w ten sposób wdzięczny wychowawiec Czackiego ułatwił Raczyńskiemu pracę zupełnego pism jego wydania.

Zbiór cały poprzedził Wiszniewski rzadkiej piękności wstępem krytycznym o dziejopisarstwie polskim. Skręślony tu wizerunek prawdziwego historyka, czém być i jak swemu powołaniu zadosyć czynić powinien, jaśnieje wymową i głębokością myśli, wskazując jak wzniosły ideał miał przed oczyma autor, gdy do pracy dziejopisarskiej zasiadał.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Nastała tedy pora ogórkowa.

Jest to techniczna nazwa najniewdzięczniejszej może dla miasta chwili roku. Jest to czas mleczywa, owoców i ogórków kwaśnych, któremi pocieszają się upośledzeni od losu, nie mogący opuścić Warszawy na tę parę skwarnych miesięcy.

A jednak pocieszycieli nam niebrak.

Pierwszy z nich przyjechał Rappo, przywiózłszy z sobą atletów, gimnastyków i cały zapas sztuk ekwilibrystycznych, żywych obrazów i t. d.

Skorzystało na tęp miasto, bo doczekało się zbudowania nowego cyrku. Wiadomo że dawny stał kiedyś na ulicy Chmielnej, aż chyłacemu się ze starości, postanowiono rozebraniem ułatwić upadek.

Następnie Warszawa miała tylko cyrki czasowe, *ad hoc* budowane i rozbiierane zaraz po ukończeniu seryi przedstawień w nich zamówionych. I nieszczerze nawet im się wiodło jakoś, bo w cyrku przy Zielonym placu jeden z przyjezdnych przedsiębiorców, skutkiem spalania się budowy, cały swój dobytek utracił.

Dzisiejszy staranniejszy budowany, jakkolwiek drewniany także, przedstawia większe warunki trwałości. Jest on obszerny i wygodny, zdolny pomieścić znacznie większą liczbę osób, aniżeli oba razem teatry. Mielibyśmy mu jednak do zarzucenia, że zamało przedstawia komunikacji na zewnątrz, przez co przy wyjściu z widowiska ruch publiczności może być zatamowany. Dzieje się to zapewne dla łatwiejszej kontroli przy wejściu; ale w gmachach na widowiska publiczne przeznaczonych, wejście z wyjściem nie ma nic wspólnego.

W takich razach trzeba wziąć za wzór włoskie teatry, bo tam najpraktyczniej tę rzecz obmyślono. Włosi przed innymi narodami lubują się w publicznych widowiskach, które zwykle o każdej porze bywają tam natłoczone. Trzeba więc im było obmyśleć najpraktyczniejsze sposoby komunikacji.

Otóż w większej części włoskich teatrów przyjęto systemat następujący.

Wejścia istnieją tam jak wszędzie i jedno z nich albo dwa prowadzą do każdego rodzaju miejsc, bo przecież publiczność od razu nie wchodzi, a kontrola musi być ścisłą.

Ale przy wyjściu, ponieważ już biletów pilnować nie trzeba, otwiera się podwójna, potrójna nawet ilość drzwi w różnych miejscach pomieszczonych. Tym sposobem teatr może się szybko opróżnić, bez tego nieznośnego tłoku, jaki niestety u nas zwykle się zdarza.

To samo zastosowano już we Francji, w Anglii i w Niemczech. Ale teatry włoskie, budowane podług nowszego systematu, urządzone są jeszcze wygodniej.

Tam cały dół na ławki i fotele przeznaczony, otoczony jest naokoło arkadami ścianę stanowiącemi. Ta ściana jest ruchoma i tworzy w potrzebie bramę. Więc za danym znakiem wszystkie drzwi się rozsuwają i w jednej chwili cała sala może być opróżniona, ze wszystkich stron bowiem otwierają się wyjścia.

Można się domyśleć jaką wygodę i bezpieczeństwo stanowi tego rodzaju urządzenie dla publiczności w teatrze zgromadzonej, w razie naprzykład nieprzewidzianego wypadku. Nie potrzeba się już lękać niczego, bo odwrót zapewniony jest zawsze. A kontroli to nie utrudnia, bo wejścia są zamknięte i dopiero za poruszeniem sprężyny znajdującej się pod ręką głównego maszynisty, stają otworem.

Otóż nie żądamy od cyrku, żeby naśladował to zapewne bardzo kosztowne urządzenie; ale niechaj przedsiębiorcy którzy się jego budową trudnili, zechcą przynajmniej podwoić liczbę drzwi na zewnątrz prowadzących. Te drzwi mogą pozostawać zamknięte przez cały czas widowiska i dopiero przy wyjściu, dla uniknięcia tłoku, stanąć otworem.

Mamy nadzieję że rada ta usłuchaną będzie, urządzenie bowiem takie niewiele kosztów za sobą pociąga, a dla wygody i bezpieczeństwa publicznego może się stać bardzo użytecznym.

* *

Żółkowski ukończył trzydzieści pięć lat służby teatralnej. Znakomity ten artysta otrzymał już emeryturę, co nie przeszkadza mu wszakże zapewnić nadal swoje usługi scenie naszej, którą ukończył całym sercem, tyle życia swojego jęj oddawszy. Żółkowski jest w sile talentu, w pełni blasku tego uroku, który od młodości go otacza, i długie jeszcze lata zapewne pozostanie ulubieńcem publiczności naszej, przyzwyczajonej uważać za wyłączną swoją własność tę potężną indywidualność artystyczną.

W zeszły wtorek odbyła się na scenie teatru Rozmaitości rodzinna ze tak powiemy uroczystość. Artysty teatrów warszawskich, w licznym zgromadzeniu, uczcili starszego swojego kolegę darem pamiątkowym. Jest to pięknie wyrobiony wieniec ze srebra złoczonego, z ogólnych zakupiony składek.

Z rozczuleniem przyjął Żółkowski życzenia i pamiątkowy upominek, a podziękowawszy kilkoma rzewnymi słowami, prosił ażeby mu koledzy jego przebaczyli, jeżeli kiedy w tym długim przeciągu czasu któremu z nich zawinił.

Rzeczywiście, życie artystów dramatycznych ma to do siebie, że pomimo przyjaźni wzajemnej i koleżeństwa, współzawodnictwo w staraniu się o względy publiczności, przyjeździe roli albo jęj odmówienie, i tysiące innych drobnych na pozór okoliczności, które zbyt częstym byliby tu wymieniać, mogą wyrodzić różne pomimowolne starcia i nieprzyjaźnie. Ale pamiętać należy, że w obec miłości sztuki, w obec ogólnego dobra, do którego każdy z tych ludzi talentu i zdolności winien przyłożyć rękę, drobne swary zniknąć powinny i że w ogólnej tylko zgodzie wszystkich jednostek towarzystwo nasze dramatyczne stanowiących, sztuka u nas kwitnąć i rozkrzewiać się może.

Zapomnienie wszelkich uraz i rozdroweń, jeżeli te kiedyby istniały, nie jest tu nawet cnotą, ale obowiązkiem.

Wrzekomo wszyscy kochamy sztukę, ale ta miłość nasza jest trochę może zbyt egoistyczną. Tam gdzie idzie o ogólny pożytek, osobistości niknąć powinny. Wiemy dobrze iż w wielu razach nielatwo daje się to uczynić; ale gdzie byłaby zasługa, gdyby nie zdawała jęj trudność w wykonaniu?

Powtarzamy, że Żółkowski jest dla sceny naszej nieoszacowanym skarbem. Przynosi on jęj nietylko zaszczyt, ale i materialny pożytek niemały...

Każde niemal wystąpienie jego napełnia kasę teatralną, która w tych czasach zwłaszcza mocno potrzebuje zasiłku. W repertuarze ról przez niego podjętych znajduje się wiele takich, które odegrane przez kogo innego, utraciłyby całkowicie swoje znaczenie, i niejedna mierna nawet bardzo sztuka, przez kilkanaście lat na scenie się utrzymująca, jemu wyłączni wiina długie swoje istnienie.

Dla młodych zwłaszcza autorów udział Żółkowskiego staje się nieocenionym, bo im z góry już prawie zapewnia powodzenie. A rzadko się bardzo zdarzało, żeby Żółkowski w takich razach odmówił swego współdziałania.

Posiadamy wielu zdolnych, a kilku potężnie utalentowanych artystów. Pomiedzy nimi są tacy, którzy z Żółkowskim śmiało w parze iść mogą i którzy byłiby zaszczytem każdej sceny europejskiej. Otóż dopełniają się oni i jeden dopomaga drugiemu; owszem, można powiedzieć, że gdy wspomagają się wzajemnie, każdy z nich żywszym błyszczy światłem. To samo powinny już być pobudką dla nich, ażeby szli ręką w rękę. Publiczność wszystkich ich ceni i kocha i pomiedzy różnorodnymi ich zasługami różnicy prawie nie czyni. Niechże więc ta sympatya, z jaką każdy z nas ich wita, i w sercach artystów również zagości.

Teatr przygotowuje nam niemało nowości. Z większych sztuk wyliczyć możemy dwie nowe komedye: *Pojęcia pani Daubray* Dumasa syna i *Nasi najserdeczniejsi* (Nos intimes) Sardou. Słyszeliśmy także coś o Plotkarzu. Komedya ta, którą Korzeniowski przy schyłku życia napisał, należy niezaprzeczenie do najlepszych jego utworów dramatycznych. Ten tak wrażliwy i zmieniający często sposób zapatrywania się na sztukę autor, zwrócił się w Plotkarzu do dawnych wzorów, i utworzył typ zawsze żywoty i zawsze na czasie, bo na pierwowzorach jego nigdy nie zbraknie.

Niewiadomo nam jeszcze na pewno, z jaką sztuką Królikowski wystąpić ma na zapowiedziany swój i gorąco oczekiwany przez wszystkich benefit; ale przekonani jesteśmy że wybór w każdym razie godnym będzie ukształconego smaku tego znakomitego artysty.

Lucia Quintilla, dramat wierszem Floryana, odegrany z powodzeniem w Krakowie i Poznaniu, ukazuje się może i na naszej scenie, tém bardziej że tak główna jak i poboczne role w tym dramacie wyborne miejscowymi siłami mogą być obsadzone. O drobniejszych sztukach nie mówimy już, lubo i tych kilka jest przygotowanych do przedstawienia, a pomiedzy niemi komedyjka oryginalna Szobera, którego pierwsza praca sympatycznie przez publiczność naszą przyjęta została.

Na październik zapowiadają nam przybycie pani Modrzejewskiej, artystki krakowskiej, która ma tu wystąpić w dwunastu przedstawieniach. Będą to po większej części dramata, z których parę nieznanych u nas. O talencie tej artystki, szczególnie w rolach poważnych a nawet tragicznych, tyle pochlebnych czytaliśmy i słyszeliśmy sprawozdań, że z ciekawością oczekujemy pojawienia się jej na scenie naszej.

Ciepłe łaźienki i kąpiele w Warszawie zyskały już pewne ulepszenia. Przyszła teraz kolej na tak zwane łaźienki letnie. Nie odznaczały się one nigdy u nas zbytnią wygodą ani czystością, a te wady ich powiększają się z każdym rokiem. A jednak właściciele tych łaźniek cieszą się znacznymi dochodami i stały ich było na ulepszenia wszelkiego rodzaju.

Nieraz to już przyszło nam zauważyć, że niektórzy z panów przemysłowców bardzo mało wygodę publiczną uwzględniają. Jeżeli przemysł ich obraca się około rzeczy koniecznej potrzeby, powiadają oni sobie:

— POCO nam wydawać pieniądze na jakieś tam poprawki? Publiczność i tak musi przyjść i kupić, bo się bez tego nie obejdzie.

Tak się dzieje z najważniejszymi produktami, jak np. z mięsem i chlebem, tak i z kąpielami wiankami. Na postępowanie tego rodzaju najskuteczniejszym byłoby środkiem współzawodnictwo. Próbowano już tego wprawdzie, ale trzeba na to zakładów na wielką skalę urządzonych, i przy porządku a wszelkich dogodnościach, mogących w cenie wytrzymać kon-

kurencyą. Tym tylko sposobem można zmusić tych panów monopolistów do większej staranności i względności na dobro ogółu.

Na pogorzalców pragskich składki idą obficie. Codziennie Kuryery ogłaszają różne ofiary, a przytém wielu przedsiębiorców różnych widowisk, których obecnie nie brakuje w Warszawie, poprzeczowało jednowieczorowy dochód na korzyść tych biedaków pozbawionych dachu i chleba. Bilse, jak to już się stało zwyczajem u niego, był jednym z pierwszych którzy pragnęli wziąć udział w tém miłosierném dziele, a pomimo niepogody, koncert z wyborowym programem, wydany przez niego, dość sporą przyniósł sumkę. Pamiętać o tém należy, że ze strony p. Bilsego wszelka taka ofiara jest podwójna, bo poświęca swój czas i pracę, a przytém zapłatę, którą członkom swojej orkiestry konieczne, tak jak w innych dniach, uścić przecie musi. Współczucie więc jakie Warszawianie Bilsemu okazują i powodzenie którego tu doznaje, usprawiedliwione są nie tylko wzorowym wykonaniem pierwszorzędných utworów muzycznych, ale skuteczném poparciem, jakiego podczas pobytu swojego u nas ten tak słusznie ceniony dyrektor orkiestry nie szczędzi dla miłosierných uczynków.

Wspominaliśmy już wam kiedyś, czytelnicy, o *charakteryce*, taki bowiem tytuł nadał pan Bielski utworzonej przez siebie nauce, poznawania z pisma charakteru i usposobienia ludzi piszących. Poznawanie to czerpie on, bez względu na treść tego co napisane, z kształtu liter, sposobu ich stawiania i t. d.

Nauki samęj nie znamy, ale każdy może się przekonać o jej rezultatach. Pan Bielski z dziwną dokładnością, po wpatrzeniu się w kilka wyrazów napisanych przez osoby nieznane sobie zupełnie, wypowiada wszystkie cechy charakteru tych osób, ich wady i przymioty, sposób życia i powołanie. Rzecz prawdziwie zastanawiająca.

Nastęcza się tylko pytanie, czy nauka ta rzeczywiście, jak twierdzi pan Bielski, dozwala każdemu dojść do tego stopnia bystrości odgadywania, jaki on sam przez rozmyśl i długoletnie doświadczenie osiągnął.

Główne zasady charakteryki skreślił pan Bielski w dwóch tomach i szuka podobno na nie nakładcy. Ale wynalezienie nakładcy na dzieło choćby ciekawe i pożyteczne, trudniejszą jest u nas do rozwiązania zagadką, aniżeli wyjaśnienie zasad nowęj zupełnie i nieznanęj jeszcze nauki.

Przegląd polityki zagranicznej.

3. lipca.

Nastrojona pokojowo prasa europejska, wróciła do ulubionego tematu, do szerzenia obaw i przepowiadania starcia Prus z Francją. Rzecz to godna uwagi, iż od bitwy pod Sadową, wiara w utrzymanie pokoju tak dalece zachwiana została, że najdrobniejszy wypadek sieje natychmiast niepokój, paraliżujący działalność sfer finansowych, a tém samém podkopujący dobrobyt powszechny. Pobyt cesarza Napoleona w obozie pod Chalons otworzył obecnie szerokie pole domysłom. Jakkolwiek żaden z dzienników nie podał ani przemowy cesarza, ani rozkazu dziennego generała Failly, wszystkie jednak zapewniają, że obaj przemawiali do wojsk w tonie nader wojowniczym, podniecając umysły żołnierzy do walki i czynów. Jakby na poparcie przypuszczenia iż fakt ten zapowiada przyszłe z Prusami starcie, La France doniosła, że Prusy domagały się bezskutecznie od rządu francuzkiego wydalenia legionistów hanowerkich. Jednocześnie rząd cesarski wniósł w ciele prawodawczém żądanie zatwierdzenia nowego poboru 100,000 rekrutów, na co izba zgodziła się znakomitą większością głosów. Tak więc ze wszech stron sypały się fakta pozornie groźne, które jeszcze raz obiegly całą prasę po to tylko, aby uleźd zaprzeczeniu. W rzeczy samęj Constitutionnel oświadczył, że wieść o zatargach z Prusami (z powo-

du Hanowerczyków) jest bezzasadną i tém uspokoił nieco obawy, lecz nie wykorzenił ich, ogół bowiem chętnie daje ucho pogłoskom wojennym.

Z Belgradu donoszą, że z powodu ważnych zeznań jednego ze sprzysiężonych, wydanie wyroku wstrzymaném zostało. Z zeznań Radowanowicza okazać się miało, że celem spiskowych było wywołanie ogólnego w całej słowiańszczyźnie tureckiej powstania i utworzenie jednego wielkiego królestwa serbskiego lub rzeczypospolitéj. Plany spiskowców, po dokonaniu zbrodni w Topczyderze, zwicnięte zostały przez energiczne działania Garaszana, który uprzedził wszystkich, pośpieszył do Belgradu i ujął ster władzy w silne ręce. Młody książę Milan przybył do Belgradu i z zapalem przyjęty został przez ludność; przyszłość jego wszakże (gdyż o wyborze przez skupczynę wątpić już nie można) zależy będzie od osób składających regencyą.

Dzienniki wiedeńskie i w ogólności cała prasa austriacka, zajmuje się obecnie kwestyą pojednania z Czechami i opozycyą stronnictwa klerykałnego przeciw nowym prawom o kościele i szkołach. Co do Czechów, to wiadomości o zaszytych w Pradze układach zupełnie są niepewne.

Uchwalenie praw o małżeństwie i wolności szkół mocno rozdrażniło klerykałnych. Na nieszczęście alokucya papieżka, potępiająca te prawa, jeszcze bardziej rozszerzyła agitacyą opozycyjną, tak iż rząd austriacki zmuszonym będzie chwycić się energicznych środków. W Czechach środki te już użyte zostały, dowiadujemy się bowiem że po wyjeździe cesarza z Pragi, większość dzienników skonfiskowano i pociągnięto do odpowiedzialności sądowej. Oprócz tego rząd wystąpił surowo przeciw zgromadzeniom publicznym różnych istniejących w Pradze stowarzyszeń.

Telegram z Rzymu z d. 1 lipca, zawiadomił nas o bulli papieżkiej, zwołującej sobór powszechny na dzień 8 grudnia 1869 r. Bulla utrzymuje, że kościół jest prześladowany, że złe książki i dzienniki są rozpowszechniane, że młodzież wychowuje się w naukach bezbożnych i t. p.

Z Londynu otrzymaliśmy telegram z dnia 30 czerwca. W dniu tym, na posiedzeniu izby lordów, bil kościelny Gladstona odrzucony został większością 192 przeciw 97 głosom.

Ostatnie depeze. Belgrad, 1 lipca. Skupczyna ogłosiła księciem Serbii Milana Obrenowicza. Książę nosić będzie imię Milana IV. Jednocześnie skupczyna wybrała regencyą, złożoną z ministra wojny Blaznowica, byłego ministra spraw zagranicznych Risticza i senatora Gawryłowicza. Książę miał mowę na skupczynie i przyjął przysięgę od wojsk. Jutro będzie namaszczony.

Wiedeń, 1 lipca. Nieporozumienie Austrii z Rumunią załatwione. Rząd rumuński udzielił wynagrodzenie Żydom za straty poniesione.

(W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France).

FRAGMENT.

W nocy życia, przy marzeń świetle księżycowém,
Śniący, niby lunatyk, na wyżynach ducha,
Błądzi człowiek, co szczęście zabił pieśni słowem.

I, gdy dokoła niego padnie cichość głucha,
On ze zranionęj piersi snuje śpiew łabędzi,
A nikt ze śpiących sercem słów jego nie słucha...

Czasem znowu, gdy próżność do czynu go pędzi,
Na nutę pajacowską stroi bardon złoty
I szalonych oklasków tłum wtedy nie szczędzi...

Wreszcie, trawiony ogniem namiętnej tęsknoty,
Pragnąc wlecieć do nieba — jak Ikar upada,
A nad głową mu huczą ludzkich śmiechów grzmoty.

Wiktor Gomulicki.

POMNIK JACHOWICZA,

na cmentarzu powązkowskim pod Warszawą.

Zasługi ś. p. Stanisława Jachowicza niejednokrotnie już i w naszym Tygodniku i w innych pismach peryodycznych były oceniane. Dziś przeto, dając wyobrażenie nowowzniesionego ku pamięci jego nagrobka, przytoczymy tylko szczegóły niektóre, dotyczące wykonania tego pomnika, oraz krótki opis obrzędu poświęcenia.

Kiedy myśl wystawienia nowego pomnika dla czci-godnego bajkopisarza w roku zeszłym powstała, pierwszym źródłem dochodu na ten cel był koncert, w którym główny udział wzięła jedenastoletnia, pełna talentu pianistka, panna Natalia Janotówna, córka profesora Instytutu muzycznego, występująca w nim po raz pierwszy publicznie, i tej okoliczności w większej części powodzenie koncertu zawdzięczyć należy. Z dochodu z tego koncertu i z innych ofiar jakie wpłynęły, Towarzystwo warszawskie Dobroczynności, pomne zasług ś. p. Jachowicza dla jego zakładów położonych, zajęło się wystawieniem owego pomnika i tym celem uprosiło członka swego pana Wincentego Morytza, który też, przy pomocy kolegów, wzięwszy się z energią do dzieła, powierzone sobie zlecenie z wszelką skrupulatnością wykonał.

Poświęcenie pomnika odbyło się w dniu 12 maja r. b. w kościele powązkowskim, po nabożeństwie żałobnym za spójność duszy ś. p. Stanisława, w czasie którego mszę przy wielkim ołtarzu odprawił j. m. ks. Pleszowski kapelan cmentarza. Równocześnie odbywały się przy bocznych ołtarzach ofiary święte; na chórze sierotki wykonywały pieśni religijne, a na organach grała też sama panna Natalia Janotówna. Następnie wszyscy zgromadzeni, tak członkowie Towarzystwa Dobroczynności, jak i kilka przełożonych pensyj żeńskich, oraz sieroty i dzieci z ochrony I-jej, udali się na cmentarz, gdzie nagrobek poświęcony został, poczem sierotki-dziewczynki odśpiewały „Salve Regina”.

Nowowzniesiony nagrobek jest dziełem p. Bolesława Syrewicza rzeźbiarza. Wykonany z marmuru dolskiego, wysokości od poziomu do wierzchołka ma stóp 11; boki kwadratu stanowiącego podstawę mają po 5 stóp szerokości. Z dawnego pomnika, zupełnie rozebranego, został użyty ten sam cokół z napisem, oraz jeden stopień odpowiednio przerobiony; przybyła zaś górna część w stylu sarkofagu rzymskiego, z wierzchołkiem, na którym się wznosi krzyż z ornamentami.

Dla podwyższenia całego pomnika, dodany został jeszcze jeden stopień i obszerniejsze podmurowanie.

Portret w medalionie zdobiący frontową stronę pomnika, jest naturalnej wielkości, odlany z brązu i położony w fabryce p. Mintra, z modelu zrobionego z fotografii przez p. Syrewicza. Przedstawia oblicze ś. p. Jachowicza, a pod nim czterowiersz:

„Czysty życiem, co go wiodło
Wśród burz świata i zamieci,
Chrystusowe przyjął godło:
Ojca wszystkich biędnych dzieci”

KOESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Paryż, w końcu maja.

Tegoroczny salon. — Urządzenie i ogólne uwagi. — Fajka stłuczona. — Dziecko żebracze. — Szarża ułanów. — Marya Stuart. — Księżniczka Tarakanow. — Chłop bretoński. — Ciekawy. — Modlitwa. — Portret babki. — Hercogowińskie niewolnice. — Malarze Polacy. — Okolice Warszawy. — Umiągająca dziewczyna. — Nieboszyk Górecki. — Snycerze. — Autorowie dramatyczni.

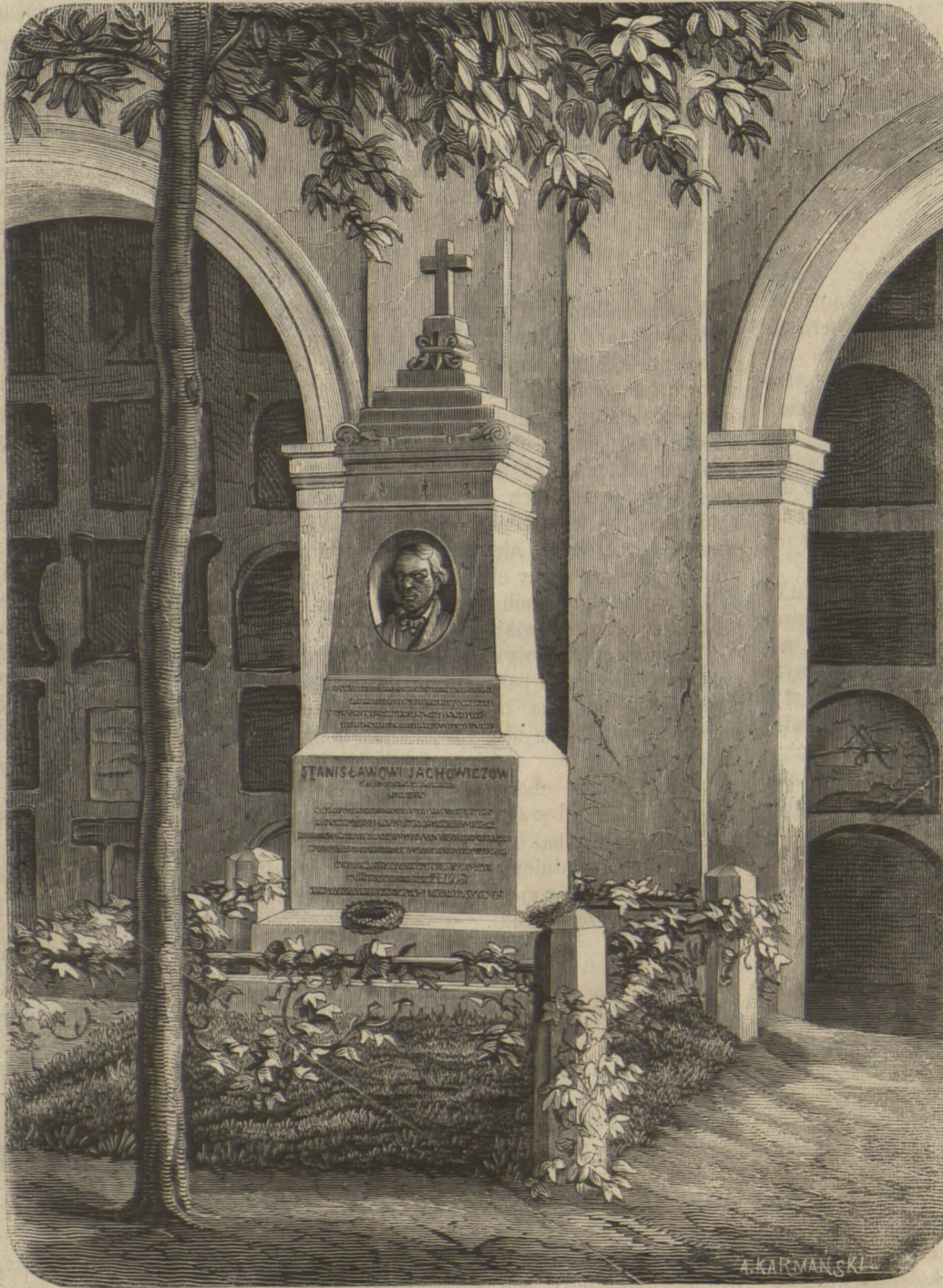
Salon, wycigi i posiedzenia stowarzyszenia autorów dramatycznych: oto są przedmioty, których użyje jako materiału do zbudowania niniejszej korespondencji.

Zacznijmy od salonu. Czytelnicy wiedzą, iż „salonem” nazywają tu coroczną wystawę sztuk pięk-

tyści biorący udział w wystawie, jeżeli są członkami instytutu, albo dekorowanymi legią honorową, albo wynagrodzonymi medalem lub wielką nagrodą rzymską (*grand prix de Rome*), albo też byli przypuszczonymi na jedną z wystaw lat poprzednich, wyjąwszy r. 1848. Sady dzielą się na sekcye, których jest cztery: 1-sza malowideł, rysunków, akwarel, pastylów, miniatur, emalij, porcelan i kartonów do szyb; 2-ga snycerstwa i rzeźby na modelach i kamieniach; 3-cia architektury; 4-ta rytownictwa i litografii. Sady decydujące o przypuszczeniu, wyrzekają również o nagrodach.

Na tych podstawach, otwierających nie na ścieżaj jeszcze, lecz dość szeroko wrota artystom, urządony został salon tegoroczny. Z góry wzbudzał on pewien rodzaj nieufności; nie spodziewano się po nim niczego nadzwyczajnego i, przyznać należy, przewidywania zawiedzionemi nie zostały.

Jest to najlicniejsza ze wszystkich, ale najmierniejsza wystawa; dlaczego najmierniejsza? różni różnie podają przyczyny. Jedni utrzymują, że zbyt prędko nastąpiła po wystawie powszechniej, drudzy, że znakomitsi artyści nie wzięli w niej udziału, inni są tego zdania, że artyzm w ogólności znajduje się w stanie upadku, a to dlatego, iż cięży na nim oficjalna opieka. Co się mniemy, to jaze skromnym mojem zdaniem przyłączam się do tych ostatnich, przez wzgląd na sposób w jaki się ta opieka wyraziła. Wzięła ona przed się: wynagrodzenie, dekorowanie i dawanie obstalunków, i to sprawiła, że artyści tworzyć poczęli nie dla piękna, ale dla nagród, dekoracyj i pieniędzy. Wyrodziła się pomiędzy nimi emulacja, podobna do emulacji w pułkach złożonych z zaciężnych żołnierzy, którym przedewszystkiem chodzi o to, aby zasłużyć na względy naczelnej komendy. Nadintendentura sztuk pięknych dla malarzy, snycerzy, architektów, rytowników i t. d. stała się naczelną komendą. Dobrem to jest może pod względem porządku, lecz w karby tego porządku ujęta fantazyja, nie może wzbić się zbyt wysoko. Dowodem tego są wszystkie bez wyjątku budowle w ostatnich czasach wykonane; dowodem niekiedy ze znakomitych malarzy, jak na przykład Meissonnier albo Yvon, których talent pochylił się na dół, od chwili jak nastawiać poczęli ucho podszeptom sławy ujętej w formułki urzędowe. Gonienie za sławą tego rodzaju ma to do siebie, że zabija niepodległość fantazyji i gasi ogień twórczości, a bez fantazyji i twórczości, można być niezrównanym wykonawcą, lecz nie prawdziwym



Pomnik Jachowicza na cmentarzu powązkowskim pod Warszawą. (Podług fotografii Mieczkowskiego).

artystą. Opieka oficjalna przyczyniła się do pomyślności sztuk pięknych o tyle, że zmieniła artyzm w pewien rodzaj uczy, do której cisnąć się poczęło mnóstwo ludzi. Powołani i niepowołani zapragnęli zostać spółbiednikami. A ci co się do stołu docisnęli, jeden drugiego potracają, bo są tam poczesne miejsca, które każdy zająłby pragnął. Droga artystyczna stała się drogą karyery, posiadającą własność zadowolenia ambicyi i napełnienia kieszeni. Nie tą pono drogą szli Tycyany, Rafaele, Michały Anioły, Murille, Van Dycki: nie było za ich czasów wystaw ani regulaminów, a przecież malowali... *niezle...* W naszych czasach malują *bardzo dobrze*, lecz jak znawcy twierdzą — *coraz to gorzej*. Przykładem tego postępu wstecz jest tegoroczna wystawa. Można ją nazwać wystawą portretów, takie tego mnóstwo. W oddziale

malowideł, na siedem obrazów przypada jeden portret. Ta obfitość konterfektów złe czyni wrażenie i dowodzi przerzucenia się sztuki na pole utilitaryzmu, ściągnięcia ideału ze sfer wyższych natchnienia na poziom rzeczywistości, wbrew twierdzeniu pana Guillaume, dyrektora szkoły sztuk pięknych, utrzymującego że celem dzisiejszej edukacji jest wznosić się od prawdy i pewności do ideału. Dali bóg że nic idealnego dostrzedz się nie da w *trzystu dwudziestu siedmiu* wizerunkach, przeróżnych urzędowych, seyntyficznych, artystycznych i episyerskich obojg płeć i wszelkich wieków znakomitości i nieznamomitości, któremi zawieszono ściany tegorocznego salonu, nie licząc w to portretów rysowanych, pastylowanych i rzeźbionych. Niewiele również idealnego

Wypowiedziawszy ogólne wrażenie, jakie tegoroczny salon sprawia, przejść należy do szczegółów. Jest to zadanie niełatwe. Gdzie wszyscy są winni, tam winy niema. Wszyscy, którzy w roku Pańskim 1868 na wystawny przegląd wystąpili, winnymi się okazali braku twórczości, a zatem niema się do kogo przyczepić i pozostaje jedynie wyszukać tych, co są najmniej winni. Do podobnego poszukiwania potrzebnym jest techniczne znanstwo, zdolne ocenić zalety, których oko profana dostrzedz nie potrafi. Ja zaś, niestety! jestem profanem, to jest członkiem tej ogromnej większości rodzaju ludzkiego, dla której malarze malują, snycerze kuja i rzeźbią, architekci budują. Będąc przeto jednostką, wchodzącą do składu tłumy, czuję się tylko w prawie powiedzieć, co i dla-

nie ramion, ustawienie nóg oznaczają nie rozpacz, któżby za fajkę rozpaczal?—ale uczucie niemego osłupienia. Patrząc na ten obraz, domyślasz się że przedstawiony na nim człowiek, postawszy przez chwilę, splunął i odszedł.

Podobało mi się również „Dziecko żebracze.“ Artysta przedstawił nędzę ludzką pod postacią dziecka w łachmanach i wywiązał się z zadania dobrze, czego mu za wielką zasługę pocytywać nie można, bo podług mnie niema nic łatwiejszego do przedstawienia na płótnie, jak nędza w postaci dziecka. Nędza bowiem jest nieszczęściem, które spada zasłużenie albo niezasłużenie. Zasłużenie spaść może na człowieka dojrzałego; lecz na dziecko spada zawsze niezasłużenie. Dość więc to ostatnie naznaczyć na twarzy



ZABAWA LOTERYJNO-KWIATOWA W OGRODZIE SASKIM. (Układ i rysunek Antoniego Zaleskiego).

dostrzedz się da i w obrazach historycznych, rodzajowych, religijnych, alegorycznych, w pejzażach i przedstawieniach natury martwej. Pod tym względem straszliwe, przerażające w tegorocznym salonie panuje ubóstwo. Ani jednego, literalnie ani jednego na 4213, nie licząc w to pomników publicznych, niema utworu, na którym wyciśniętymby było piętno wyższego talentu. Zato dobrych jest mnóstwo; wszystkie są dobre, ale tą dobrocią, od której mimowolnie usta drą się do ziewania. Od wielu malowideł bije inspiracya ta sama, co od artykułów dzienników półurzędowych, wzbudzająca niesmak i jakieś nieokreślone podejrzenie. Nowoczesne bitwy, przeglądy, wystąpienia, wypadki i różnego rodzaju parady zbyt dużo zabięrają artystom czasu i zanadto niekorzystnie na ich twórczość wpływają.

czego podobało mi się, a co i dlaczego nie podobało się.

Zacznę od malowideł.

Podobał mi się mi niewielkich rozmiarów obraz, pod tytułem: „Fajka stłuczona.“ Jakiś, co widocznie nie ma za co dogodzić gustom swoim, zdobył się na glinianą fajeczkę ze złamanym cybuszkiem, nałożył ją, zapalil i właśnie w chwili w której się zabięrał rozkoszować w obłokach tytoniowego dymu, fajeczka z rąk mu się wymyka i na kamień pada. Niema się po co schylać,—na ziemi leżą czerepy, a pośród nich wzbija się do góry sinawy dymek. To też fajeczkarz jak stał, tak pozostał; tylko głowę pochylił i ręce złożył. Twarzy jego nie widać, zasłania ją szeroka kryza starego, pomiętego i podziurawionego kapelusza; lecz postawa, złożenie rąk, podniesie-

piętnem głodu i ubrać w podartą odzież, ażeby w widzach wzbudzić uczucie politowania.

Ale, ale!... Wymieniam obrazy, a przemilczam nazwiska artystów. Pospieszam tedy z naprawieniem mimowolnego uchybienia. Autorem pierwszego jest p. August Jernberg, Szwed, autorem drugiego p. Karol Brun z Montpellier.

Do rzędu tych które mi się podobały, zaliczyć także muszę spore malowidło, pendzla rodowitego Paryżanina p. Alfreda Didier, wyobrażające szarżę ułanów w ulicach Lipska, wyjętą z powieści pp. Erckman-Chatrion pod tytułem *Rekrut z r. 1813* (*Le Conscrit de 1813*). Na widok tego obrazu ciarki za skórą przebiegają. Artysta dobrze rzecz oddał, co miaruję z tego, że nie wiedząc jeszcze o co chodzi, zatrzymałem się przed obrazem i doznałem uczucia,

od którego wszystkie nerwy naraz zadrgały. Takiego uczucia nie doznaje się przed lada bazgraniną. Artysta miał pewne trudności do przełamania; trzeba bowiem było nadać żołnierzom do szarży idącym wyraz ludzi rzucających się spokojnie w objęcia śmierci. Obraz przedstawia pewien rodzaj wyścigów z przeszkodami, — ale z jakimi przeszkodami!... Nie o przesadzenie przez szeroki rów tu chodzi, ani o przelecenie ptakiem przez wysoki płot. Przeszkody są bardziej seryo. Wyrastają one z dołu, spadają z góry, cisną się z boków, z przodu i z tyłu. Bruk ulicy zavalony jest trupami, wywróconymi działami i ruinami; z dachów padają kamienie, krowie i belki; z okien sypie się karabinowy ogień; z przodu gęsta kolumna piechoty najeżyła się szczecią bagnętów; z tyłu gęste kolumny jazdy niosą śmierć na ostrzach szabel. Śmierć żelaznym a ognistym wiankiem otoczyła ich dokoła, tryskając z każdego kamyka pod nogami i z każdego światelka nad głową. Nadziei zbawienia nigdzie i w niczym. Ta właśnie beznadziejność rozlana na obrazie uwydatnia tych, co jej się nie przelekli. Idą rycerze w bój, zapewne dla nich ostatni; konie pod nimi się wspinają, przesadzają przeszkody; idą — a z takim spokojem odwagi, że patrząc na nich, zdaje się jakby pewnymi byli, iż z pod siodeł urosną im nagle skrzydła i wyniosą ich cało z tego tańca śmierci.

Obraz ten nie jest arcydziełem, należy jednakże do lepszych. Jest w nim wyraz, życie, jest ruch. Pozycja nadana każdej z osobna postaci jest momentem schwyconym w przelocie. Każde ona domyślać się pozycji która ją poprzedziła i przeczuwać pozycję która po niej nastąpi, co pochodzić musi ząd, że p. Didier studyje nie tylko malarską technikę i klasyczne wzory, lecz oraz i literaturę, że szuka natchnienia nie tylko w rzeczach *ex-cathedra* zalecanych, ale oraz i w życiu, którego piśmiennictwo jest odzwierciedleniem. Czerpiąc w rzeczach żywych, niedziw że życie swoim utworom nadaje. Zdaniem mojem dobrej on chwycił się drogi i jeżeli z niej nie zejdzie, można dla niego wróżyć piękną artystyczną przyszłość. Jest to malarz początkujący. Zanotujcie go sobie. Mam przecucie, że za lat kilka poważniejszego niż mój odezwą się o nim głosy, byle tylko geniusz opiekujący się malarstwem ochronił go od narzucanych obstalunków. Tegoż malarza jest na wystawie i drugi jeszcze obraz, o którym się nie będę rozpisywał, dla przyczyny bardzo prostej, że... nie mogłem go odszukać.

Upprzedzam was, iż sprawozdanie moje nie jest i nie może być wyczerpującem. Do tego najprzód nie posiadam kwalifikacji, powtóre nie mam ram dość obszernych. Więc pobieżnie wymieniam to tylko, co mi w oko wpadło, opuszczając wiele rzeczy, których bądź dostrzedz nie mogłem, bądź ocenić nie umiałem. I tak do poprzednio wymienionych dodaję:

Juliusza *Kientina* „Maryja Stuart, rozdająca klejnoty w wigilią śmierci swojej.“ Obraz przedstawia scenę rzewną, pełną smutku, ale trochę zamonotonną. W smutku jest rozmaitość, a tej artysta nie oddał. Królowa jest posepna i wszyscy ją naśladowają. Oto cała sztuka.

Panny *Elizy Moisson-Desroches* „Księżniczka Tarkanów topiąca się podczas wylewu Newy.“ Artystka wzięła sobie za zadanie poprawić błędy, popełnione przez nieboszczyka Flawickiego, który ten sam traktował przedmiot. Flawicki przedstawił topielicę wspinającą się do okienka i już umarłą. To też w jego obrazie postać księżniczki gra rolę podrzędną, a główna przypada akcesoryom traktowanym po mistrzowsku. Wilgotne ściany, smutne sprząty więzienne i wlewająca się woda, której szum zdaje się słycać, więcej i lepiej mówią, aniżeli zsiniały trup. Panna *Moisson-Desroches* zamiast trupa, przedstawiła postać młodej kobiety w rozpaczliwej szukającej ratunku, który jest niemożliwym; lecz nie podołała zadaniu. Nie umiała artystka nastroić ducha na ton najwyższej rozpaczliwej. Gdyby jednak mógł kiedy z nią się spotkać i żywym głosem do niej przemówić, powiedziałbym jej: *du courage, mademoiselle!*...

Wiktora *Renaulta* „Chłop bretański, poprzysięgający zemstę za syna; scena z wojen wandejskich.“ Z obrazu tego bije prawda, którą widz mimowolnie odczuwa. Twarz matki niema wyraża boleść; starzec opatruje strzelbę, a wyraz jego oblicza mówi: „kiedy jego zabili, niechże i mnie zabiją, ale drogo sprze-

dam im życie“... Widzisz tego siwego rolnika, co dotychczas był łagodny jak baranek i z całą szczerością ducha intonował w wiejskim kościółku hymn „od powietrza, głodu, ognia i wojny“, zmienionego nagle w łaknącego krwi tygrysa. W życiu jego nastąpił zwrot zupełny. Wyszędzszy ząd, pójdzie prosto na czaty, strzeli i zakarbuję na lasce — i będzie karbował póty, póki jego samego nie zabiją. A wówczas, w chwili skonania, buchnie śmiechem szatańskim i rzuci żołnierzom rzeczypospolitej laskę i powie im: „policzcie karby, — tylu błękitnych wyrwałem z waszych szeregów za mego syna“.

Jerzego *Saala*, Prusaka „Ciekawy“ (*Indiscret*). Jest to pejzaż górski, służący za tło do sceny humorystycznej, odegranej przez dwie osoby: malarza i niedźwiedzia. Malarz zdejmując widok okolicy i, zatopiony w swoim zajęciu, nie widzi jak mysio, spuściwszy się z góry, usiadł za nim i przez ramię mu zagłada. Humor sytuacji zależy na zapytaniu, do którego artysta widza zmusza: „co to będzie, gdy malarz się odwróci i ujrzy nagle świadka i admirałora swojej roboty?“ Spokój niewiadomości człowieka i półdziwienie niedźwiedzia, oddane są z wielką naturalnością.

Alfonsa *Muratona* „Modlitwa“ należy do dobrych. Mówię to śmiało, dlatego że potwierdzenie mego zdania znajduję w wyroku sądu znawców, którzy ten utwór wybrali do nagrody. Przedstawia on zakonnik w modlitwnej ekstazie. Zastosować do niego można słowa B. Zaleskiego: „Co ziemskie, rzucam ziemi, co niebieskie, w niebo wznoszę“. Na całej postaci jaśnieje spokój głębokiej wiary i pokora niebo przebijająca. Miękkie „jakiś i łagodny koloryt nadaje obrazowi ton cichy chóralski pieśni, wznoszącej się coraz wyżej i wyżej pod obłoki, za obłoki i ginącej u stóp Tego, co na wysokościach panuje.

Leona K. *Pepina* „Wdowa przed portretem nieboszczyka męża“ jest, zdaje mi się, płodem poronionym. Artysta chciał wyrazić co innego. Jeżeli się nie mylę, chciał on upostaciować małżeńską miłość i wierność, dochowane pomimo że śmierć węzeł stargała — a nadał obliczu wdowy wyraz taki, jakby sobie żartowała z tego, co w grób się położył. Pomimo to malowidło nie jest bez zalet.

Andrzeja *Reverchon'a* „Portret babki“ niezawodnie jest malowidłem bardzo udatnem. Doskonale oddał artysta szczęśliwość ubogiej staruszki, we wnukach i wnuczkach rozrodzonej i z czystym sumieniem kresu tej wędrowki dobiegającej. Obraz ten postawiłbym na równi z Modlitwą *Muratona*.

Jarosława *Czermaka* „Niewolnice hercogowińskie, przez baszi-buzuków sprzedawane“ obejdą się bez mojej pochwały dla dwóch powodów: raz dlatego, że artysta jest już znanym, a powtóre, że kompetentniejsi odemnie wyrzekli o tym utworze swoje zdanie. Nie jest to wszelako arcydzieło. Arcydzieła ani jednego wystawa nie posiada.

Oto wszystko co mi w oko wpadło w oddziale wystawy malarskiej, o której nie pisałbym już nic więcej, gdyby nie obowiązek wspomnienia o Polakach, co do spóźzawodnictwa wystąpili. Naliczyłem ich dziesięciu, jako to: Władysław Bakałowicz (dwa obrazy, „Obłężony zamek“ i „Partya wolanta“); hrabia Korczak E. *Boratynski* z Boratyna, (portret księcia C. i portret p. V. de O.); Aleksander *Gassowski* (portret p. A. J. i „Skromne śniadanie“); Jan Baptysta *Józef Golebiowski* (portret księdza D.); nieboszczyk Tadeusz *Gorecki* (Komunia umierającej dziewczyny i portret p. Ludwika Wołowskiego); Leon *Kaplinski* (Stefan Czarniecki); panna Izydora Mikulska; (portret p. M. i „Dziewczyna“); Lucyan *Przepiorski* (kwadratowy salon Luwru i portret autora); Józef *Szermentowski* (Okolice Warszawy, pejzaż); Henryk Dominik *Roszczeński* (dwa obrazy przedstawiające naczynia z wieku XVI).

Nieboszczyka *Goreckiego* dwa obrazy figurują w salonie. Jeden jest portretem, drugi kompozycją na szerszą skalę. O tym ostatnim słów kilka. Wyobraża on młodą kobietę, przyjmującą ostatni posiłek na drogę wieczności. Umierająca podniosła głowę z poduszki i podała się ciałem ku księdzu, który do ust jej opłatek zbliża. U wezgiłowia stoi zasmucona staruszka, zdaje się matka tej co się do innego przenosi życia. Z za księdza wygląda małe w komesce, z dzwonkiem w ręku. Układ bardzo prosty, taki jaki się sam przez się nastęczył; wyko-

nanie dobre, rażących błędów, ani bijących uchybień w obrazie niema; ale też niema i tej podniosłości, jakaby potrafił natchnąć genialny artysta taką uroczywą scenę. Nieboszczyk jednakże umiał utworowi swemu nadać wyraz prawdy i rzewności, które czynią ten obraz wielce sympatycznym.

Na tém zamykam rzecz o malarskiej wystawie, i pomijając rysownictwo, rytownictwo, litografię i architekturę, przechodzę do snycerstwa, ale na to tylko, ażeby poświadczyc, iż pp. *Marcelli Grzybski* i *Ksawery Godebski* przysłali po dwa okazy: pierwszy portret hrabiny Z. (medalion, bronz) i portret p. W. (biust, bronz), drugi portret pani S. G. (biust, marmur) i portret p. G. Maillard (medalion, marmur). Cztery dzieła snycerskie, cztery portrety. Może są one arcydziełami, ale ja na tém poznać się nie umiem, a to dlatego, że czuję do portretów jakiś nieprzełamany wstręt, który wystawa tegoroczna spotęgowała. Gdzie się tylko obrócić, wszędzie portrety. Istne skaranie Boże!... Takem się na malowanych ludzi napatrzył, że kiedyś pałac wystawy opuścił, to mi się wydało, że ludzie żywi są także malowanymi, to jest że wyskoczyli z ram obrazów, wyrwali się na ulicę i używają przechadzki na wolnym powietrzu. Złudzenie to, jakiemu uległem, przemawia za doskonałością portretów. Jednakże, chociażby były jaknajdoskonalsze, zawsze jest tego za dużo. Nie zapominajmy bowiem i o fotografii, fabrykującej wizerunki ludzkie milionami. Portretowanie zakrawa na chorobę wieku, z której może należałoby się uleczyć.

A teraz jeszcze słówko o ostatniem posiedzeniu autorów dramatycznych. Nie każdemu może wiadomo, że w Paryżu istnieje stowarzyszenie, mające na celu opiekowanie się interesami fabrykantów tragedyj, komedyj, wodewilów, dramatów, fars i t. p. Stowarzyszenie to składa się z samych autorów, a organem onego jest komisya przez ogół wybiórana i mająca za główny cel przestrzeganie, aby dyrektorowie teatrów nie wyzyskiwali autorskiej pracy i autorskich talentów, czyli, aby płacili autorom odpowiednie honoraria. Każdy przeto autor obowiązany jest złożyć swój utwór w komisji, a komisya powinna się układać z dyrektorami. Porządek ten jednakże nie był zachowywanym. Autorowie, potrzebujący gotówki, zgłaszali się wprost do dyrektorów, i ci nabywali ich utwory ze szkodą tych, co pośrednictwa komisji używali. Ząd powstały liczne skargi i narzekania, procesy i kłótnie pomiędzy dyrektorami a komisją, pomiędzy autorami a dyrektorami i pomiędzy komisją a autorami. Sposób położenia temu tamy przedstawiał się jedynie w dobraniu do składu komisji ludzi energicznych, którzyby zdolali trzymać w ryzach i burzliwą korporacyę autorską i usiłujących jaknajniższe płacić honoraria dyrektorów. Na posiedzeniu przeto, na którym odbyły się wybory komisarzy, chodziło o rozwinięcie energii, co się tak dobrze powiodło, że się autorowie o mało nie pobili. Powodem tej burzy stał się list p. d'Ennery, na którego odczytanie nie chciał pozwolić p. Edmund About. Natychmiast wytworzyły się dwa stronnictwa. Jedno wołało „czytać!“ drugie „nie czytać!“ a przytém pojedyncze głosy rzucały rozmaite dusery. Ażeby tych duserów dać próbkę, przytoczę wyjątek z artykułiku, napisanego przez p. H. de Villeessant przeciwko panu E. About. „Nie rozumiem doprawdy jakim prawem, pisze p. H. de V., ten ułamek upadłego autora pozwala sobie mówić o mnie w mojej nieobecności. Nic znam go już oddawna; widziałem go z daleka kilka miesięcy temu w teatrze. Jeżeli go fortuna utoczyła, to otyłość nie idzie na korzyść dwóch dziurek, które mu służą zamiast oczu. Ma on, z przeproszeniem, miąg wieprzka, który zazwyczaj chodzi w okularach; lecz je zrzucił na chwilę...“ A co?... Wszak nieźle szamerować się „umieją autorowie narodu najgrzeźniejszego pod słońcem?...

Przegląd teatralny.

„Ubody w salonie,“ komedia w 4-ach aktach prozą oryginalnie napisana, przez Edwarda Lubowskiego.

...Hrabia N** wzruszył ramionami.

— I co pomoże pańskie dowodzenie? rzekł.

— Więc nie przekonałem pana?

— Bynajmniej. Kto chce mieć wpływ, ten przede wszystkim niezbędnym stać się powinien; kto chce działać na poprawę, ten znać powinien przedmiot jakiego się dotyka, wady i zбочenia z których zarzut czyui. A wy piszący nie wypełniacie ani jednego, ani drugiego, *względem nas przynajmniej*, warunku.

— Ale żarty, panie hrabio.

— Wcale nie żarty. Żeby dokładnie i wszechstronnie opisać, już nie mówię społeczeństwo, już nie mówię koteryą, ale człowieka zyczajnego, trzeba go poznać naprzód. A wy co? za ledwie który z was w życie wchodzi, już zaczyna to życie opisywać. Przypuszczam że piszący ma talent i wierzy w to, ale talent nie za wszystko starczy jeszcze, a głównie nie starczy za poznanie. Ztąd pochodzi że zamiast typów prawdziwych, kształtujecie sobie jakieś typy konwencjonalne i nie odstępujecie już od tej raz ulanej foremki. A potem jeden bierze od drugiego, i tak dalej i dalej. Najrozwężniejsi u nas powieściopisarze, chcąc się dotknąć pewnej koteryi, do której instynktownie nie mają sympaty, tworzą karykatury a nie ludzi. Nie przeczę że ci ludzie są naprawdę często karykaturami, ale trzeba im się przypatrzeć, trzeba je poznać. Tymczasem tak nie jest. Stronicie od nas, wielu z was zna nas tylko z widzenia za ledwie, z jakiego oddalonego stosunku, a chcecie opisywać nas i działać na naszą poprawę. Więc pod waszym piórem świat nasz najfałszywiej się przedstawia. I jakież z tego skutek? Oto czy w powieści, czy na scenie, nikt z nas się nie pozna w postaciach które wy na jaw wyprowadzacie. To nie my, to tylko jakieś maryonетки, które autorowi podobało się w nasze suknie przybrać. Alboż my tak mówimy, tak chodzimy, tak działamy? Może równie źle, równie śmiesznie, może gorzej i śmieszniej jeszcze, ale inaczej. Niechże się poczuwają do złego owi książkowi jacyś grzeczniczy, których autor tu przedstawił; my do tego nie jesteśmy obowiązani. Podobało mu się wymyślić komedycznych baronów, niechże się cieszy nimi; baron prawdziwy wzruszy ramionami i odejdzie. I w tym głównie jest wyższość pisarzy zagranicznych nad naszymi, że tamci znają zwykle to o czym piszą; więc choćby trochę i przesadzili, zawsze się coś prawdy zostanie, a prawda koniecznie swój skutek odnieść musi.

Ta rozmowa dawno już się odbyła i nieraz przy sposobności przychodziła mi ona na myśl.

W wady zarzucone przez hrabiego N^o wielu z nas popada rzeczywistość potrosze.

Chcemy naprzykład opisać salon.

To elastyczny wyraz. Zkąd wziął swój początek, jak się urobił, co właściwie ma znaczyć, wiadomo ogólnie.

Salon, to przede wszystkim rzecz arcy-kosmopolityczna. Są to mniej lub więcej dobre fotografie jednego pierwowzoru. Rzecz idzie z tradycyi, a zmienia się z okolicznościami. Trzeba chwytać chwilę bieżącą. Czasem takiego salonu niema wcale, nazwa jednak pozostaje.

Bo tu niekoniecznie idzie o ściany z sutem obiciem, o meble, o portyery, o służbę w przedpokoju, o suknie materyalne w fotelach, o fraki czarne nachylone przed niemi.

Salonem może być czasem gabinecik, a nie stanie się nim rozległa i świetnie przybrana komnata, ochrzczona tą nazwą, jeżeli duch salonowy jęj nie ożywi, jeżeli nie zapełnią jęj te lalki strojne, o aksamitnym dotknięciu, swobodnym obejściu i bezmyślnym rozmowie, która salonowców charakteryzuje.

Pan Lubowski posiada niewątpliwie talent komedjopisarowski. Umie on patrzeć w życie, wyrabiać sobie z niego pojęcie i zdawać o niem sprawę. Jego więc, tak jak i wielu innych, uderzyła ta frakowa i koronkowa nędza, która się przyczepia do aksamitnego fotelu i nie chce się rozłączyć z froterowaną posadzką, gdzie się jęj przeszłość urobiła. Jest to jedna z najstroższych tegoczesnych plag społecznych. Z samej natury rzeczy doprowadza ona do udawania, do ciągłej komedyi przed sobą samym i drugimi, a w ślad za tem do różnych drobnych podłostek i pozbycia się wszelkiej godności, wszelkiego

poczucia wartości osobistej, słowem zaparcia się obowiązków członka społeczeństwa.

Jeżeli w rękę wyciągniętą grosz przestanie wpadać, przyjdzie chyba gdzie zamrzeć w kącie, bo praca stała się już niepodobieństwem.

Pomysł wyborny, żywotny, na dobre; szkoda tylko że przystępując do rzeczy, autor niedość wszechstronnie może ją opatrzeć.

Postacie które występują w tej komedyi są nieokreślone jakoś i niewiadomo doprawdy do jakiej kategorii społecznej zaliczyć je trzeba.

Jakiś zruinowany pan Strzębiec, żyjąc resztkami kredytu w Warszawie, ma młodą siostrę i córkę na wydaniu. To już dość jak na jedną i to niebardzo tęgą głowę; ale w dodatku jest tam jeszcze (choć bardzo późno, bo dopiero w trzecim akcie o nięj się dowiadujemy) wychowanka Strzębca Anna, która odgrywa rolę kopciuszka w domu, i to może właśnie spowodowało, że nie tylko wszyscy występujący w komedyi, ale nawet sam autor tak długo o nięj zapomniał.

Jak zwykle jednak, kopciuszek najlepiej wychodzi i jedyna ta sympatyczna postać kobięca z całej sztuki, łączy się związkiem małżeńskim z młodym inżynierem Karolem, który również jedynie sympatyczną postać męzką tu przedstawia.

Otóż w salonie pana Strzębca rozwija się działanie sztuki. Sprawa toczy się pomiędzy *Michałem*, typem zruinowanego i doprowadzonego do szukania bytu za pomocą różnych przemysłnych środków dandysa, Jaroszem, głupcem i niedołągą o milionowym majątku i Helfenem, bogatym spekulantem bez serca, w którego głowie istnieje tylko jedna urobiona i dobrze zapełniona komórka zdolności do spekulacji.

Tutaj należy nam oddać sprawiedliwość panu Lubowskiemu, że pomysł jego szerzej zachodzi i głębiej sięga, niżby się z pozoru zdawać mogło.

Pragnął on przedstawić wszystkie rodzaje salonowego ubóstwa. Występuje więc tu po kolei ubóstwo kieszeni, serca i ducha, personifikowane w powyżej przytoczonych osobach. Ale z powodu może właśnie tego szerokiego zakresu jaki autor pracy swojej nadać postanowił, niewyraźniły się typy, pomieszzały że tak powiem z sobą; wszystkie te sceny odbijają się potrosze w każdęj z występujących osób, ale w nikim nie uwydatniły się wybitnie.

Przebiegu sztuki opisywać nie będziemy. Głównym punktem około którego wszystko się obraca, jest milionowy spadek po jakimś wujaszku z Ameryki, o którym pan Strzębiec w gazetach wyczytuje. Nadzieja tego spadku ożywia gorliwość konkurentów do panny i cioci; aż wreszcie przychodzi rozczarowanie, a panna i ciocia z kosów na których pozostały skaczą sobie ze złością do oczów, co, nawiasem mówiąc, na widzach bardzo przykre czyni wrażenie.

Nie wspomnieliśmy jeszcze o postaci ubocznie wprawdzie tylko na tok sztuki wpływającej, ale pełnej komicznej werwy, starej plotkarki, wtręcałkiej i totumfackiej towarzyskiej, pani Korynny Wertepowej, której staranna gra pani Borawskiej silną nadała barwę i na pierwszy ją niemal plan wyprowadziła.

Gdyby rzeczywistość mieszkanie pana Strzębca, w którym cała ta krętanina się odbywa, było prawdziwym salonem, jak to zdaje się wskazano w tytule, gdyby postacie występujące tam nie odstręczały ogólną jakąś oschłością, w której jednego rysu sympatycznego trudno się dopatrzeć, komedya pana Lubowskiego, posiadająca zalety dowcipu, werwy, stylu, a nawet zręcznego scenowania, nierównie większej nabrałaby wartości.

W każdym razie są tam żywioły komedjowe, tylko autor niedość zręcznie połączył je z sobą i niedość ściśle określony dał im środek działania. Taka Korynna Wertepowa, o której już wspominaliśmy, taki Jarosz przesadzony trochę, ale przypominający Fredrowskie zacięcie, wchodzi już w zakres owych komicznych postaci, które dawna i dobra szkoła, trochę niestety dziś już zapomniana, tak tryumfalnie na jaw wyprowadzać umiała. Zato Michał żebrak we fraku i Helfen bezsensowy spekulant, należą już do nowszych postaci szkoły realistów, a mniejsze

uwydatnienie rysów ich charakterystycznych dowodzi, że talent autora nie ku tej wcale nagina się stronie. Strzębiec już całkiem niewyraźny i trudno go nawet ukłasyfikować; zaś Karol inżynier, pracujący nad machiną, która jemu sławę, ludzkości zaś pożytek ma przynieść, jest tylko kopią postaci tego rodzaju, tak często dzisiaj na jaw przez francuzkich pisarzy wprowadzanych.

Ujemną stronę sztuki stanowią kobiety, bo takie spekulantki na małżeństwo jak Matylda i Helena, są może portretowane z pojedynczych osobistości, ale w żadnym razie za typy uważać ich niepodobna.

Dzięki Bogu, ogół u nas jest inny; pocóż więc wprowadzać na światło wyjątki, których gdzieś po kątach szukać trzeba?

O Annie nie mówimy; tej tak mało wybitnej osobistości artystka w grze swojej podnieść nie mogła. Na szczęście tym razem stanowiła ona tylko wyjątek wśród ogółu artystów w tej komedyi występujących.

Pani Palińska ratowała postać Matyldy całym zasobem wyrobionego na sumiennej pracy talentu. W tę kokietkę bez serca wlała ona trochę sympatycznego światła, o ile to przynajmniej od nięj zależało.

Pani Ostrowska grą swoją złagodziła zbyt ostre rysy charakteru Heleny, chociaż trudno było doprawdy uczynić sympatyczną tę bezsercową dobrych partyj łowczynię.

Niemala zasługa należy się panu Ostrowskiemu, bo z niewyraźnej roli Strzębca stworzył jeżeli nie typ, to charakter przynajmniej. Uprawdopodobnił go, ożywił, otoczył komicznym światłem. Myślący to i sumienny aktor, widocznie zastanawia się nad każdą rolą, a ciągle idzie naprzód.

Pan Świeszewski (Michał) przyzwyczajony jest do stąpania pewnym krokiem po salonowej posadzce. Wybornie to urobiony aktor do komedjowych miejscowych typów; w grze jego czuć wykończenie i pewność siebie, ruchy szlachetne i dobrze obmyślane. Ten przynajmniej salonowiec nie kłamie i poznać się w nim można.

Jarosza grał pan Sawicki. Każda rola w której występuje ten młody artysta, wyrasta do wysokości typu. Powiadają że doskonałe role mu się dostają; nam się zdaje, że nietylko w tym rolę, ile aktora zasługa.

O pani Borawskiej wspominaliśmy już. I jęj się także pochwały należą, za grę barwistą i dobrze wyczerpaną.

Pan Piasecki małoznaczną swoją rolę odegrał sympatycznie.

Wacław Szymanowski.

STRACH MA WIELKIE OCZY,

opowiadanie z prawdziwego zdarzenia.

Skręślił

Wacław Poncet-de-Sandon.

(Dalszy ciąg.)

Robiło się coraz ciemniej i chmurniej, aż wreszcie lunął deszcz rzęsy, a droga z każdym krokiem stawała się węższą i krętszą. Tak jechaliśmy ze dwie godziny; deszcz lał jak z wiadra i ostry wiatr ani na chwilę nie ustawał. Położenie nasze było rozpaczliwe. Jak ja tak i furman byliśmy głodni, przemokli do nitki, a od zimna trzęsła nas febra, bo futer nie mieliśmy z sobą. Przytęm widocznie zablądziłyśmy, konie padały ze znużenia, a tu oczekiwała nas jeszcze może zasadzka i niebezpieczeństwo. Żeby się zebrać z myślami, dać chwilę wypoczynku koniom i dla ogrzania się wypić starki, kazałem się zatrzymać. Lecz i to się nie udało; źle jakoś postawiłem butelkę i wódka się wylała, a konie czegoś rwały się naprzód. Znużony i zziębnięty, załamałem ręce. Wtęm Paweł radośnie zawołał:

— Panie, panie! jesteśmy zbawieni, widzę wyraźnie ogień.

SZKICE Z ŻYCIA WARSZAWSKIEGO.

Układ i rysunek Kostrzewskiego.

— Gdzie, gdzie? zapytałem również uradowany.

Paweł wskazał palcem na prawo. Spojrzałem. Z daleka w samej rzeczy świecił się jasny, jak gwiazdeczka, ogień, migocząc między drzewami.

— To nie ogień rozłożony w lesie; — rzekł Paweł — wyraźnie pochodzi on z jakiegoś mieszkania ludzkiego. Musi więc gdzieś blisko być i droga do niego.

Rzeczywiście, przejechawszy sto kroków, ujrzelśmy po prawej ręce drogę, lecz tak wąską, że trzema końmi nie sposób było jechać. Wypręgliśmy więc jednego i puściliśmy się tą ciasną drożyną. Ogień wkrótce znikł, lecz posłyszeliśmy zato szczykanie psów, jeszcze pewniejszą oznakę mieszkania ludzkiego. Tymczasem deszcz ustał i zachmurzone niebo zaczęło się wyjaśniać, a księżyc chwila mi wysuwać się z obłoków. Nareszcie, przejechawszy ze trzy wiorsty, ujrzelśmy zieloną, trawiastą polankę, a na niej dość dziwne zabudowanie.

Był to ogromny czworogran, zajmujący ze dwa morgi ziemi, ogrodzony ze wszystkich stron niezmiernie wysokim płotem, nie z desek, ale z grubych dylów szczelnie złożonym i obronnym gęsto sadzonymi żelaznymi kolcami, na ówierć łokcia długimi. We wszystkich czterech ścianach tego obszernego czworogranu, nie było widać nie tylko żadnego okna, ale najmniejszego otworu; w ścianie tylko od południa znajdowały się duże, dębowe wrota, gęsto ewiekami nabijane i obok nich maleńka furteczka. Nim przybyliśmy do niej, musieliśmy objechać trzy ściany czworoboku. Wewnątrz nie było słyhać najmniejszego odgłosu; grobowe zdawało się tam panować milczenie. Coby znaczyło to zabudowanie w lesie? do czego mogło służyć? trudno było odgadnąć. Tyśiące niespokojnych zapytań i niezbyt wesołych myśli krążyło w mojej głowie. Lecz nie czas było wy-

biierać: potrzebowaliśmy koniecznie schronienia, ciepłego kąta, posiłku i spoczynku, jednym słowem ludzkiej pomocy.

Popchnąłem wrota, ale były zamknięte, pociągnąłem więc za klamkę od furtki, która odemknęła się natychmiast. Wszedłem wewnątrz czworoboku. Był to obszerny dziedziniec, z pięciu zabudowaniami. Po lewej stronie, o kilka kroków od furtki, stał duży dom, dość niepoczesnej powierzchowności, z obszernym, na kilka stopni wzniesionym gankiem. Z okien jego biło rześiste światło. Na drugim końcu czworoboku był również duży dom, tylko bez ganku;

w nim także błyszczały ognie. Oprócz tego przy płocie od wschodu znajdowały się jeszcze trzy jakieś budowle, których przeznaczenie trudno było odgadnąć.

Wstąpiłem na ganek i wszedłem do niewielkiej sieni mającej dwoje drzwi, jedno po prawej, drugie po lewej ręce. Zawahawszy się chwilę, udałem się na prawo i odemknąwszy podwoje, znalazłem się w obszernym i porządnym przedpokoju, oświetlonym kominem, na którym suty płonął ogień. Przy ścianie od wschodu, po obu stronach drzwi, stały szafy: naokoło komina kilka dużych krzeseł, czarną włosianą materią wybitych; przy drugich dwóch ścianach dwa tapczany, takąż materią pokryte; w czwartej zaś ścianie ujrzałem dwoje drzwi, a pomiędzy nimi ów potężny komin.

Na jednym z tapczanów głośno chrapał jakiś niezwykle wzrostu, wąsaty, w pół siwy, dzięki i z bójcekiej twarzy mężczyzna, w kożuchu z czarnych baranków, cienkim szaraczkim pokrytych. Lecz co szczególnie rzuciło mi się w oczy, to ogromna ilość broni jaka się tam znajdowała. Stała ona koło szaf, tapczanów, komina i we wszystkich kątach pokoju. Był tam cały arsenał: najrozmaitszego,

kalibru fuzye, dwururki, pojedynki, rusznice, karabiny nawet muszkiety czyli garłacze, tureckie, francuzkie, angielskie pistolety, jakieś przedpotopowych kształtów olbrzymie miecze, szable, szpady, bogato oprawne janczarskie jatagany, włoskie sztylety i puginały, a między innymi kilka takiej samej formy i oprawy szerokich nożów, jakie widziałem u draba w Wygodzie. Zaledwo spostrzegłem te noże, zmiarkowałem że między nim a tym domem jest jakiś związek i zacząłem się domyślać, że wpadłem w zręcznym zastawioną zasadzkę. Ale już nie czas było wracać nazad;

(Ob. dodatek.)



Po dwugodzinném czekaniu w przedpokoju.

— Jak asan śmiesz przychodzić do mnie nieogolony?

— To widać w przedpokoju tak mi broda urosła tymczasem.

Z turnieju szachowego.

Partya VII.

Białe.	Czarne.
P. Bernard Winawer.	P. Dawid Winawer.
1) G2—G3	1) E7—E5.
2) F1—G2	2) F8—C5.
3) B2—B3	3) D8—F6.
4) E2—E3	4) E5—E4.
5) B1—C3	5) D7—D5.
6) C1—B2	6) C5—F8.
7) C3—D5 biorą	7) F6—B2 biorą.
8) D5—C7 biorą †	8) E8—D8.
9) C7—A8 biorą	9) G8—F6.
10) G1—E2	10) B8—C6.
11) E2—C3	11) C8—G4.
12) D1—B1	12) B2—B1 biorą.
13) A1—B1 biorą	13) C6—E5.
14) C3—E4 biorą	14) E5—F3†
15) G2—F3 biorą	15) G4—F3 biorą.
16) E4—G5	16) F3—H1 biorą.
17) G5—F7 biorą †	17) D8—E8.
18) E7—H8 biorą	18) F8—D6.
19) E1—E2	19) H1—C6.
20) C2—C4	20) B7—B6.

21) B3—B4	21) C6—A8 biorą.
22) C4—C5	22) D6—C7.
23) B1—C1	23) B6—B5.
24) F2—F3	24) A8—D5.

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 26.

Inaczej piszą w księgach, inaczej dzieje się na świecie.

25) C1—C2	25) E8—F8.
26) E3—E4	26) D5—E6.
27) D2—D4	27) E6—C4†
28) E2—E3	28) G7—G5.
29) D4—D5	29) F8—G7.
30) E3—D4	30) G7—H8 biorą.
31) D5—D6	31) C7—D8.
32) E4—E5	32) F6—D7.
33) C2—C4 biorą	33) B5—C4 biorą.
34) E5—E6	34) D8—F6†
35) D4—C4 biorą	35) D7—E5†
36) C4—D5	36) H8—G8.
37) E6—E7	37) G8—F7.
38) F3—F4	38) G5—F4 biorą.
39) G3—F4 biorą	39) E5—D3.
40) A2—A3	40) D3—F4 biorą †.
41) D5—C6	41) F4—D3.
42) C6—B7	42) A7—A5.
43) C5—C6	43) A5—B4 biorą.
44) A3—B4 biorą	44) D3—E5

i czarne oddają za przegraną.

Partya ta zasługuje na uwagę przez swoją oryginalność i przez ładną grę pieszkami ze strony białych przy jej zakończeniu.

(Dodatek).

przebudzony mojem wniściem olbrzymi zbroj, zerwał się na nogi, i spostrzegłszy mnie, przecierając oczy, zawołał dość opryskliwie:

— Kto pan jesteś? kto pana tu wpuścił? czego pan potrzebujesz?

— Jestem — rzekłem — podróży oficer. Nikt mnie nie wpuścił, albowiem drzwi były otwarte, i....

— Przeklęty Stacho! — mruknął z gniewem zbroj, przerywając mi niegrzecznie — nigdy nie zamknę furtki!

— Jechałem przez puszcę — mówiłem dalej — do miasta T* i zbliłem się widać z drogi. Jestem zmokły, zziębnięty, głodny, znużony; przyszedłem więc prosić o gościnność dla siebie i koni.

— Nie myślę żeby ję odmówiono panu — odpowiedział zbroj, mierzając mnie okiem. Lecz nie odemnie to zależy; są tu starsi. Natychmiast się dowiem. A tymczasem zrzuć pan płaszcz i ogrzej się przy ogniu, dodaj grzeczniej, podsuwając mi krzesło, i jeszcze raz spojrzawszy na mnie pochmurnie, wszedł we drzwi po lewej stronie komina będące.

Po kilku chwilach powrócił, niosąc w ręku karafkę wódki i spory kawał pasztetu.

— Bardzo prosimy pana rozgościć się u nas — rzekł. Ale pierwsza rzecz poruczniku, trzeba się ogrzać. Pan jesteś zmokły, zziębnięty i możesz zachorować; a więc: w ręce pańskie!

Tu, napełniwszy spory kielich, wychylił go duszkiem i nalał dla mnie.

— Pij pan! zawołał, jest to stuletnia wódka; z taką nigdy już pan się nie spotkasz. Zagrabilimy ją u starego szambelana L..

— Bez żadnych ogródek, — pomyślałem sobie, chwali się że zagrabili, i wypilem podany kieliszek. Wódka w samej rzeczy była nieporównana.

— No, a teraz na drugą nogę, poruczniku — rzekł drab, powtórnie napełniając kieliszek. Pij pan! ta wódka nie idzie do głowy.

Nie chcąc odmawiać, wypilem znowu i wziąłem się łapczywie do pasztetu.

— No, posilaj się pan, a ja tymczasem pójdę po człowieka, konie i rzeczy — powiedział nieznajomy wychodząc.

Wkrótce postyszałem skrzyknięcie wrót i Paweł zaczął wnosić moje rzeczy i broń.

— Piękne i cenne masz pan koniki, i ręce, chociaż tylko chwilę je widziałem, że muszą grubo kosztować, mówił nieznajomy, jarząc zapalając świecę i biorąc pod pachę karafeczkę. No, a teraz proszę za mną.

Tu odemknął drzwi po prawej stronie komina i wprowadził mnie do pokoju, stawiając świecę i karafkę na stole.

Trudno opisać moje zdziwienie, kiedy znalazłem się nie tylko w pięknym, lecz wspaniale i bogato ubranym salonie. Ściany jego były pokryte amarantowym adamaszkiem, lamperye złoceniem, a mahoniowe krzesła, sofy i kozetki takiegoż koloru aksamitem; na posadzce rozścielały się przepyszne, staroświeckie, miękkie i wzorzyste makaty. Duże okna, z trzech kryształowych tafel złożone, ginęły w draperyach firanek i zasłon z zielonej jedwabnej materyi. Oprócz tego salon ubrany był jeszcze czterma olbrzymimi lustrami, ogromnym żyrandolem z czarnego wypolerowanego brązu i kilku olejnymi obrazami, którym przypatrzeć się nie miałem czasu.

— No, wypij pan jeszcze, nim się ogrzejesz herbatą i ponczem! rzekł znowu mój atletyczny gospodarz, nalévając kieliszek, a ja tymczasem pójdę umieścić pańskie konie i człowieka, każe nastawić samowar i wydam jeszcze kilka rozporządzeń.

Pozostałem więc sam jeden i zapaliwszy cygaro, zacząłem niespokojnie przechadzać się po wspaniałym schronieniu czy więzieniu mojem. Bo jakie dać miano temu salonowi, jeszcze sam nie wiedziałem. Wszystko co mnie spotkało téj chwili, było tak nowe, niespodziane i dziwne, że nie mogłem ochłonać z wrażenia.

Gdzie i u kogo jestem? Czy grozi mnie jakie niebezpieczeństwo? Czy być może, aby ten dom z takim komfortem i przepychem urządony, był jaskinią opryszków? Lecz znowu, któżby mieszkał w tak gęstym i osamotnionym ostępie, w samej głębinie przepięknej puszczy? Dłaczegóż pan tego domu, jeżeli nie odmówił mi gościnności, nie wyszedł do mnie choć na chwilę? Bo rzecz była widoczna, że olbrzymi zbroj

który mnie przyjmował, nie był gospodarzem domu; więcej wyglądał na powiernika jakiegoś herszta bandytów. Przytém nacóz te ściany najeżone żelazem i kolcami? nacóz ten ogromny zapas, cały arsenał najrozmaitszej i niewidzianej broni? Nareszcie, wnosząc z nożów, trudno było wątpić że zachodził jakiś związek między tym domem i drabem widzianym w Wygodzie, a zatem i wykreśleniem nabojojów z mojej dwururki. Gubiłem się w domysłach, i znów mimowolnie przypominało mi się opowiadanie wachmistrza.

Wtém do przedpokoju weszło kilka osób; dał się słyszeć szcęk broni i dobrze mi już znajomy bas atletycznego jegomości, który mnie tu wprowadził.

— Jasiu, nastaw natychmiast samowar! mówił rozkazującym głosem. A asan, panie Stachu, dlaczego znowu nie zatarasowałeś furtki? Proszę zaraz samemu ją zamknąć i naznaczyć dwóch wartowników, aby całą noc chodzili koło domu i składów. Panie Czamara, masz tylu ludzi do pomocy i porę jeszcze nie późną, proszę więc aby broń była gotowa i wyczyszczona żywo, bo o dziewiątej rano ruszamy na wyprawę.

W ciągu tego monologu, zlekka odemknąłem drzwi od salonu i zobaczyłem chłopca zwiążającego się koło samowaru i czterech wysokiego wzrostu mężczyzn w półkożuszkach, zbierających broń, a w ich liczbie poznałem draba, z którym się spotkałem w karczmie. Drab ten, warta, czyszczenie broni, wyprawa, wbiły mi nowego klina do głowy. Trudno już było prawie wątpić, że się znajduję w jakimś bardzo podejrzanym miejscu, jeżeli nie poprostu w jaskini łotrów.

Tymczasem do pokoju wszedł znowu mój niby gospodarz.

— Cóż pan — zapytał — nie kończysz karafki? Furman pański cokolwiek lepiej chodzi koło szkła; za pierwszym haustem golnął półkwarty siwuchy, a za drugim skończył całą flaszę. No, wypij pan jeszcze kieliszek; bo po takiej zimnej, jesienniej kąpieli, trzeba się dobrze rozgrzać, żeby nie dostać febrę. A zatem, w ręce pańskie!

I wypiwszy, nalał mnie kieliszek.

Te ciągle i natrętne traktamenta, również jak pojenie Pawła, wydały mi się nie bez kozery. Lecz miałem wówczas niezmiernie mocną głowę, milcząc więc spełniłem nalaną lampkę.

— Ale, ale... mówił dalej mój podejrzan nieznajomy — zapomniałem o tém, że odzienie pańskie i bielizna zupełnie mokre. Zaraz wniosę pańską szkatule, neser i walizę; bo trzeba koniecznie się przebrać, gdyż inaczej febra pewniuteńka. Oho — dodał, ciągnąc z przedpokoju szkatule — ciężka niepospolicie, musi być pełna złota.

— Mylisz się pan — rzekłem — złota tam niema zupełnie, a srebra bardzo skąpo. Są tylko minerały i kamienie, których zbieraniem się bawię.

— Ha, ha, ha! zaśmiał się olbrzym. Wolne żarty pańskie! Kto to wozi kamienie w szkatule, jakby jaką osobliwość?

To licho mnie nadało — pomyślałem sobie — zajmować się mineralogią.

— Jeśli pan nie wierzysz — dodałem głośno — to mogę ci pokazać, a sam się przekonasz.

— No, zobaczmy i przekonamy się jutro! odpowiedział niosąc walizkę. Być może że są tam i kamienie, tylko w takim rodzaju jaki pan masz na palcu.

— Mówisz zapewne o moim pierścieniu — rzekłem, ale i w tém się mylisz, mój panie, bo to fałszywy brylant, poprostu dobre szkło czeskie.

— A pokażno pan — zawołał, biorąc mnie bez ceremonii za rękę na której był pierścień i przypatrując się mu przy świecy. Co pan drwisz ze mnie? To przepyszny soliter najpiękniejszej, bo zielonawej wody, rznięty w rozetę. Ważyć musi ze trzy karaty i wartuje około sześciu tysięcy złotych.

Oslupiałem! Pierścień ten bowiem, darowany mi przez matkę moję chrzestną, ważył w samej rzeczy trzy karaty i wart był sześć tysięcy złotych; na jubilerza zaś mój olbrzym wcale nie wyglądał.

— Co pan z takim zadziwieniem mi się przypatrujesz? zapytał śmiejąc się. Znam się mój panie na wszystkiem, nawet na brylantach. Handlowałem niemi niejednokrotnie! No, a teraz przebiérnij się pan.

W samej rzeczy potrzebowałem przebrania, bo ca-

ła bielizna była mokra i dlatego mimo ciepła w pokoju i licznych haustów wódki, żadnym sposobem rozgrzać się nie mogłem. Nachyliłem się więc do mojej walizy, aby ją rozpakować, kiedy atleta wstrzymał mnie.

— Na co masz pan fatygować się i rozrzucać swoje rzeczy? Bielizny i szlafroków jest u nas dosyć. Zaczekaj pan chwilę, przyniosę mu natychmiast wszystko, czego tylko potrzeba do przebrania się.

W kilka minut powrócił i przyniósł mi ze trzy koszule, tyleż szlafroków i porannych ciżemek.

— Wybiérnij pan — rzekł — podług wzrostu i miary i koszule i szlafrok i ciżemki.

Koszule były z najcieńszej weby, przedziwnej roboty, rozmaitej długości i z coraz inną cyfrą. Szlafroki były jeden z weneckiego aksamitu, drugie dwa z drogich jedwabnych materyj, wszystkie trzy bardzo mało noszone i również rozmaitej długości i objętości. Co u licha! pomyślałem sobie — czy u nich sklep tandetny? Widoczne było, że te wszystkie rzeczy pochodziły z lupieztw i grabieży; boć nikt nie zakłada w głębiach nieprzebytych puszczy tandet i sklepów krawieckich. Wybrałem jedną koszulę, wziąłem szlafrok aksamitny, jakby na mnie zrobiony i ciżemki z czerwonego saianu. Odzienie moje i bieliznę olbrzym zabrał natychmiast i odesłał do kuchni dla wysuszenia.

Nareszcie wniesiono srebrny samowar, artystycznej roboty, takąż tacę, cukierniczkę, imbryk i kosz z sucharkami i migdałowem ciastem, obok tego butelkę araku i talérzyk z cytrynami. Już brałem się za imbryk, aby nalać sobie herbaty, kiedy mój gospodarz przeszkodził mi.

— Za pozwoleniem pańskim — rzekł odbierając imbryk — ta czynność do mnie należy. Przyrządź najprzód panu i sobie ponczu, bo ten jest najlepszym lekarstwem od wszelkiego przeziębienia, a widzę że pan dotychczas przyjść do siebie nie możesz. Otóż jak pan wypije dwie szklance mikstury mojej dystylacji, będziesz pił sobie herbaty ile zechcesz; lecz od dwóch porcyj ponczu za nic nie odstąpie.

I nalawszy po połowie herbaty i araku, dorzuciwszy kosteczkę cytryny, podał mnie szklankę.

— Pij pan, póki gorący! arak zaręczam że doskonają.

Ledwo skończyłem szklankę, mój uprzejmy gospodarz nalał mi natychmiast drugą, jeszcze mocniejszą. Wyraźnie chciał mnie upoić.

— Będę prosił — rzekłem — aby dano herbaty i mojemu człowiekowi, jeśli łaska, gdyż przywykł do niej i także zmokł i spracował się biédak.

— Już on nie potrzebuje herbaty, odpowiedział obojętnie zbroj.

Paweł służył mi od dzieciństwa i mimo jego nałogu, byłem doń mocno przywiązany. Na te słowa więc zdrząłem i z biciem serca, niespokojnie zapytałem:

— Dłaczego nie potrzebuje, mój panie?

— Bo ludzie nasi tak go hojnie utraktowali, że już nie ruszy ani ręką, ani nogą, ani ustami — odpowiedział śmiejąc się.

— Ha! pomyślałem — spojono więc mego Pawełka. Po chwili rzekłem:

— Mój panie, byłeś tak łaskaw, że pownosiłeś moje rzeczy, lecz broni mojej coś nie widać. Czy nie można wiedzieć co się z nią stało?

— Piękną broń swoją dostaniesz pan jutro. Szkaradnie była zamoczona, kazałem więc ją wyczyścić. Przyznam się panu otwarcie, że chociaż żołniérz, nie umiesz pan z nią się obchodzić. Jak można tak pyszną dwururkę i pistolety, wozić z sobą bez żadnego futerału i okrycia?

A więc pod pozorem czyszczenia, broń mi zrabowano — rzekłem w duchu.

— Niech sobie i tak będzie, dodałem głośno. Powiédz mi pan tylko, u kogo się znajduję i komu jestem obowiązany za tak uprzejmą gościnność?

— U dobrych ludzi, którzy swoich gości nigdy nie puszczają na sucho — odpowiedział olbrzym, uśmiechając się złośliwie. Zresztą dowiédz się pan jutro o tém. A teraz proszę pić herbatę, a ja pójdę postarać się o wieczerzę, bo zapewne niebrak panu apetytu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kronika zagraniczna,

przez

J. I. Kraszewskiego.

Fantazyja i rzeczywistość. — Historia zatraconych. — Petöfi. — Dwaj pastrowie. — Murzyn w piwie. — Aleksander Feith. — Rozbójnik morski arcybiskupem Yorku. — W kwarantannie na Malcie. — Co się dzieje w Londynie. — Siostra odnaleziona po latach czterdziestu. — córka Jamesa Ferguson'a. — Historia Enocha Arden w rzeczywistości. — Z podróży Hildebrandt'a, przez Kossaka. — Przyjemności hotelów na Wschodzie. — Bombay. — Towarzystwo podróżnych. — Przyjacielskie jaszczurki. — Studya entomologiczne. — Pająk olbrzymi. — Zupa i pieczone z węża. — Colombo. — Żywe świece. — Kłębek z mrówek. — Ceny w hotelach. — A. Stradtman o Heinem. — Wspomnienia Maksymiliana Heinego o bracie. — Nowe szczegóły. — Heine we Francji.

Rzeczywistość podejmuje się czasem niewinnie nia poetów i romansopisarzy, którym czytelnicy chętnie zarzucają nieprawdopodobieństwo, lub zbytnią pomysłów ich żywość. Czytając powieść, ileż to razy człowiek wrzusa ramionami i powiada sobie: a, już też tego nadto!... Wypadek przychodzi w samą porę, jakby naumyślnie; czytelnik uśmiecha się z politowaniem; płaczą się i zbiegają okoliczności najmniej spodziewane... i mówi się rzucając książkę: To tylko w romansie trafia się coś podobnego...

Ale prawda i życie daleko są od wszelkich wymysłów obfitych w niespodzianki, cuda i nadzwyczajności. Jeden turysta angielski podjął się zebrań ciekawych powieści tylko o ludziach przypadłych bez śladu, i napisał z opowiadań słyszanych rzecz bardzo zajmującą. Nic dziwnego, powiada on, że w czasie wojny i rozruchów giną ludzie; wszakże trafia się to i wśród najpowszedniejszego spokoju.

Śmierć sławnego poety węgierskiego Petöfi należy do tych zagadek z pola bitwy. W jakiejś potyczce widziano go jadącego jeszcze przez pole zasiane kukurydzą. Czy tam zabity został, czy wpadł w ręce Wołochów włączających się po kraju, czy zasłabł i umarł... nikt nie wie. Ciała nie znaleziono wcale.

Jest to wszakże czasu wojny mniej trudnym do pojęcia; ale mnóstwo ludzi znika w biały dzień, bez wieści. Znajdowane później zamurwane szkielety, kości po studniach, groby przy gościńcach i w lasach, odkrywają tragedye nieznanie i zapomniane.

Niekiedy zniknięcie nabiera charakteru prawie komicznego, jak owych dwóch predykantów w Londynie, którzy z wielkim zdumieniem dzienników, jednego białego dnia wyszli i nie powrócili. Gubiono się w domysłach; aż później pobożnych kaznodziejów odkryto... w stroju świeckim, z wąsami, na zgromadzeniach, na które zwykle nawet protestanckie duchowieństwo nie uczęszcza.

W sławnej piwiarni Barklay'a i Perkins'a służył Negr melancholiczny, który nagle także, zupełnie niepojętym sposobem, przepadł. Gdy ogromna kadź piwa, która wielce smakowała amatorom, do dna wyczerpnięta została, okazało się że nieszczęśliwy czarny dopuścił się samobójstwa w... piwie. Ciało jego leżało na dnie, a przyjemny wielce smak napoju przypisywano tej dotąd nieznaną piwowarom ingrediencyi.

Przed laty 200 znany z prac literackich uczonec i profesor, który sobie w jednym z ognisk oświaty zjednął głośną sławę, znikł także bez wieści i śladu. Z Flandryi, z kąd był rodem, naówczas wojną domową dotkniętej, udał się do Francji, gdzie jako profesor języka greckiego powszechnie był szanowany i wzięty. Jednego dnia postrzeżono go w miasteczku w którym mieszkał, przechodzącego ulicą. Ludzi mnóstwo widziało jak profesor szedł, jak ze drzwi jednego domu ktoś go powołał skinieniem, któremu posłuszny wstąpił na próg, drzwi się za nim zamknęły, i od tej pory już go ludzkie oko nie widziało. Przyjaciele, uczniowie, magistrat miasta, urzędnicy zarządzili najściślejsze śledztwo; poszukiwano pilnie, lecz nie znaleziono niczego. Czy w tym domu do którego wchodził został zamordowany, czy sam popełniwszy jakiś występki, uciekać musiał i schronić się w klasztorze pod innem nazwiskiem, do dziś dnia nikt nie wie. Zostało tylko imię Aleksandra Feith'a i szacowne po nim dzieło: *Antiquitates Homericae*.

Zniknięcie drugiego uczonego tradycya oksfordzka przypisuje wcale innym przyczynom. Było ono nagłe, ale trwało tylko czas jakiś. Pewnego dnia jeden z najpilniejszych studentów oksfordzkich wy-

mknął się z miasta, tak że nikt z jego przyjaciół i towarzyszy nie mógł wpaść na trop co się z nim stało. Wkrótce po tym wypadku na Śródziemnym morzu zjawił się morski rozbójnik, niezmierniej odwagi, który na statki napadał, wylądowywał i płądował po miasteczkach nadbrzeżnych, ogromne łupy ścigał, i, jak mówiono, na małej, niezamieszkaną wyspę miał gniazdo niedostępne do którego się chronił. Tu on z towarzyszami dobranymi wiodł życie wesołe. Gdy łupów mieli dosyć, wyspa opuszczoną została, a rozbójnicy się rozpierchnęli. Student nie wiedzieć z kąd zjawił się niezadługo potem w Oksfordzie, wrócił do ksiąg i nauki, wślawił się talentem, wybrał sobie stan duchowny, i coraz wyższych dosiegając godności, umarł arcybiskupem Yorku.

„Krećąc się po świecie, powiada turysta, wypadkiem się trafia na przygody, które ukazują jak ludzie bez śladu ginąć mogą. Gdy przebywałem na Malcie kwarantannę, o troje drzwi odemnie w lazarecie wybuchła zaraza morowa i podróżny, wracający ze Wschodu, z nią umarł. Zaledwie skończył, natychmiast przysposobiono się do pogrzebu. Trumnę zaimprovizowano, wstawiono na nosze i czterech posługaczów czarno odzianych, zamaskowanych, wyniosło ją wzdłuż esplanady ku cmentarzowi. Staralem się koniecznie dowiedzieć kto to był, ale nadaremnie. W czasie okropnej swój słabości słowa do nikogo nie przemówiłem, w pozostałościach po nim nie było żadnych papierów ani skazówki, mogącej naprowadzić na domysł jakiej był narodowości, z kąd i dokąd jechał. Wiedzano tylko że... umarł człowiek. Miał on gdzieś przecie rodzinę, przyjaciół, dom... a nikt nigdy wiedzieć nie mógł co się z nim stało.“

W Londynie podobne wypadki trafiają się nader często: ludzie oddalają się na chwilę z domu w odwiedzin do znajomych i przepadają na wieki; młode panienki uchodzą od rodzin z Francuzem, z Niemcem, z Anglikiem, który je zwykle po kilku tygodniach porzuca... i czasami później wracają znowu do rodziców, lub kończą rozpaczliwą śmiercią, albo rozpaczliwszą jeszcze życiem. Przed wielą już laty w rodzinie dotąd żyjącej zdarzył się następujący wypadek. Młoda osoba, mająca dwadzieścia i dwa lata, opuściła nagle dom rodzicielski, bez żadnego widocznego powodu, tak że śladu odkryć nieumiano co się z nią stało. Nie zdołano nawet domyśleć się czy uszła sama, czy z kim. Mnóstwo ogłoszeń, wyznaczone nagrody, starania ojca, który miał pewne znaczenie, pomoc przyjaciół domu nie doprowadziły do niczego. Lata za latami upływały i zapomniano prawie o zginionej. Więcej niż wlat czterdzięci później, brat tej panny, który nie był jeszcze na świecie gdy znikła, pojechał do Australii. Przybywszy do Sydney, został w dziennikach pomiędzy innymi podróżnymi wymieniony. Jednego rana siedział przy śniadaniu, gdy mu oznajmiono że jakaś pani życzy się z nim widzieć. Ledwie weszła, zaczęła go rozpytywać o rodzinę i przyznała mu się że jest jego siostrą. Opowiedziała mu swoją historią. Uciekła z domu z ulubionym, człowiekiem ubogim. Popłynęli razem do Australii, założyli tam gospodę i utrzymywali ją aż do śmierci jej męża. Wstydząc się tego zajęcia, biedna kobieta nie śmiała o sobie dać wiadomości, wiedząc że rodzice byli dumni.

Tragiczniejszy był koniec córki sławnego James'a Ferguson'a. Ojciec szedł z nią, jak zwykle zamysłony, przez Straad, gdy musie wysunęła i znikła. Odtąd już jej nie widział więcej. W wiele lat po śmierci Ferguson'a dowiedziano się co się z nią stało. Młody człowiek, który ją na odczytach ojca widywał i poznał się z nią, namówił ją do ucieczki, wyjechał z nią do Włoch i tam porzucił. Powróciła biedna do Anglii, chcąc zostać artystką i poświęcić się teatrowi. Garrick próbował, pragnął pomódz, ale nie miała talentu. Chciała potem pisać, lecz i to się nie powiodło. Z rozpaczyci rzuciła się w życie najokropniejsze i zmarła w nędzy. Na smiertelnym łożu przyznała się lekarzowi kto była.

W południowej Wallii, w Llanelly, zdarzył się wypadek, który posłużył Tennysonowi za temat do jego poematu Enoch Arden. Człowiek zameżny, ojciec dwojga dzieci, nagle opuścił dom i przepadł bez wieści. Żona jego usłuchała rady którą w Fauscie daje Mefistofeles pani Marcie Schwertlein: nosiła rok po mężu żałobę i poszukiwała sobie drugiego. Była już

żoną innego, gdy majtek jakiś przybył do Llanelly opowiedział że statek na którym się jej mąż znajdował, rozbił się na oceanie Południowym, a on jeden ledwie zdołał uratować życie. Po upływie lat wielu, pierwszy mąż, John Williams, powrócił zdrowy i cały. Właśnie kobieta owa wyszła była na przechadzkę ze swym drugim mężem i dwojgiem dzieci z pierwszego małżeństwa, bo więcej ich nie miała. Williams, nie znalazłszy nikogo w domu, a wiedząc gdzie się klucz chowa, otworzył chatę, wszedł i czekając na żonę, siadł w oknie. Wkrótce ujrzał ją wracającą z dziećmi i jakimś obcym mężczyzną... Pośpieszył do niej i został natychmiast poznany. Ci ludzie prości, zawikłanie w które wpadli mimowolnie, sami w sposób zgodny załatwili. Pierwszy mąż stanął na prawo, drugi na lewo, do kogo się żona obróci... ten jej mężem miał zostać... Zwróciła się do pierwszego, a drugi odszedł bez sporu.

Póty nasz Anglik, którego osobliwych studyów owocem dzielimy się z czytelnikami. Gdyby szło o monografię zaginionych ludzi, dostarczyłyby stare pamiętniki i historie wiele do nich materiału, a upodobanie w podróżach i wielkie wyprawy do biegunów, w głębi Afryki... po dziś dzień mnożą liczbę Franklinów i Liwinstonów.

Nigdy też człowiek więcej nie podróżował i zważając się nie krećł po świecie, a nigdy literatura nie obfitowała w taką mnogość opisów, badań, opowiadań na wszelkie tony i do wszelkiego humoru zastosowanych.

Ponieważ puściliśmy się w świat z naszym turystą, idźmy już dalej, zmieniając tylko przewodnika. Ernest Kossak, słynny berliński felietonista, podjął się z notat Edwarda Hildebrandt'a malarza skreślić jego podróż około świata. Odznacza się ona tem, że nam daje obraz szczególnie wierny i drobnotkowy hotelów, gospód różnych krajów i ich niedogodności. Ktoby później, zmuszony nocować w Kałuszynie lub Garwolinie, narzekał jeszcze, byłby najniesprawiedliwszym z ludzi.

Dnia 26 września Hildebrandt dostał się do Aleksandrii. Na hotel Europejski w którym jadł wyborne śniadanie, wcale się nie uskarża; ale trzeba się było wkrótce przesiąść na statek Jeddo, płynący do Indji, a tu czekały go próby ciężkie. W tym pływającym hotelu zrazu wszystko było wyborne, śliczne, obfite; ale gdy się podróżni dostali na pełne morze, powoli kuchnia zmieniać się, wygody uszczuplać i męki a tyranstwo kapitana coraz bardziej dokucać poczęły. Hildebrandt opisuje co ucierpiał; ale nie będziemy wchodzić w szczegóły, których się zresztą domyśleć łatwo, ani wycieczki jego na ląd w Aden przytaczać. Wszystko to jeszcze wstęp do rzeczy. Indyjskie hotele głównie na uwagę zasługują. Dostawszy się do Bombay, stanął podróżny w Hotel Royal. Nazwisko było obiecujące, obiecujący także tłum sług snuł się po wszystkich piętrach, ale nie poczuwając się do najmniejszego obowiązku dla przyjezdznego. Hotele w Bombay utrzymują hindusy, umiejący wszakże po angielsku. Budowa tych hoteli odpowiada klimatowi i jest bardzo lekka; ganki, galerie (werandy) otaczają wszystkie piętra. W oknach szyb niema nigdzie; zamykają się albo okiennicami, lub żaluzjami. Wewnątrz pokoje dzielą nie ściany kamienne lub drewniane, ale płócienne, na ramy naciągnięte. Drzwi są tegoż rodzaju. Bezpieczeństwo niewielkie, a poufną rozmowę prowadzić trudno. Nigdzie ani komody, ani szafy. Na trzecim piętrze zamiast sufitu dach tylko, który przewiew świeżego powietrza przepuszcza. Chłodniejsze jest jak na niższych piętrach, ale mieszkanie trzeba dzielić z ptakami, które ze wszech stron nalatują. Niema co wspominać o szczurach i o myszach, jako o towarzystwie które na Wschodzie wszędzie spotkać musi podróżny. Usługa hotelowa wcale podróżnemu nie służy; kto chce mieć buty czyste i suknie wytrzymane, musi sobie najać własnego „boy'a“, a boy ten, ściśle biorąc, tak mało ma chęci do roboty, iż trzeba mu do wyręczenia jeszcze kogoś. Przy stole dla Europejczyka nieco dziwnemi wydać się muszą na wszystkie strony przebiegające jaszczurki; ale one nikomu nie szkodzą. Szybkie jak strzała, latają od talerza do talerza, zaglądając po drodze do szklanki. Indyjanie, przez poszanowanie życia zwierząt, nic im złego nie czynią, a nadto jaszczurka ma tę zasługę, że robactwo wyniszcza. Z Bombay nasz podróżny

udał się do Ceylon. Nowe niespodzianki oczekiwały nań w hotelu Culemana w Point de Galle. Oberża, jak inne budowy, miała tylko jedno piętro, zamiast podłogi bruk, zamiast okien żaluzje, a wokrytej matami ziemi dziwiły mnogie otwory. Powstanie ich zrozumiał Hildebrandt dopiero, gdy po krótkiej niebytności wrócił do swego mieszkania i znalazł je pełne wszelkiego rodzaju zwierzątek, ciekawie rozpatrujących się w jego tłumokach. Jaszczurki rozbiegły się wszystkimi otworami, z których wkrótce tylko ogonki ich widać było. Oprócz nich, ciekawych dla naturalisty studyów dostarczały mnogie entomologiczne okazy. Ogromne skorpiony znajdowały się po wszystkich kątach, a zdejmując ze ściany paletot, natrafił podróżny na pajaka wielkości dziecięcej pieści, z proporcjonalnymi wcale nogami. Usiłował go pochwytać, ale mu się to nie udało. Dwie tylko nogi zdobył na uciekającym. Do stołu podano potrawę... z węzów, jednych w zupie gotowanych, drugich pieczonych. Smak miały wyborny. Hildebrandt wziął je zrazu za węgorze, ale mięso znacznie twardsze wywiodło go ze złudzenia. I tu, jak w Bombay, stół przebiegały przyjacielskie jaszczurki. Z niemi wszakże żyć było łatwiej niż z czarnymi mrówkami, któremi hotel był przepelniony.

Prawie też same przyjemności znalazł nieszczęśliwy artysta w Colombo; ale tu zabezpieczano stoły i łóżka od napadu mrówek, nogi zanurzając w naczynia z wodą. W hotelu w Candy mieszkanie podobne było do chłewa; gospodyni miała wprawdzie apartament elegancki, ale goście! W pokoju Hildebrandta wody było po kostki i musiał natychmiast nająć kogoś, aby wylał i choć trochę osuszył mieszkanie. Pierwszego wieczora można się było obejść bez świecy, gdyż mnóstwo świecących robaków i much weisnęło się przez okna, ale oprócz nich ogromna także ilość robactwa do olbrzymich wyrosłego rozmiarów, którego zabijać nie było podobna, bo rozciśnięte wydawało woń nieprzyjemną. Na wyjeźdnym, porządkując tłumok, znalazł w nim Hildebrandt rodzaj kłębka wielkości głowy ludzkiej, złożonego ze zbitych w masę mrówek, które w chłodku zebrały się, odpoczywały.

Myliłby się ktoby sądził, że tych przyjemności za tanie pieniądze dostać można. Za owę izdebkę entomologicznych ciekawości pełną, płacono się na noc 3 rupie (1 talar 10 gr.), tyleż kosztował obiad z węzami, bifstyk pojedyncze około talara i t. p. Odbiera to ochotę do zwiedzania Indyj i malowniczego Wschodu, choćby zeń tak piękne akwarele jak Hildebrandta przywieźć można.

Zdaje się żeśmy tu już wspomnieli o Adolfa Strodtmanna i dziełach H. Heinego (H. Heine's Leben und Werke v. Ad. Strodtmann. Berlin. Duncker), monografii której dotąd znamy tom pierwszy z dwóch części złożony, obejmujący lata dziecinne (genealogią rodziny), pobyt w Bonn, charakterystykę epoki, Göttingę, rozbiór poezji i żywot uniwersytecki poety. Czekać musimy całości, aby osądzić o ile żywot Strodtmanna w nowym świetle ukaże nam Heinego. Tu już znajdujemy wiele szczegółów zajmujących; ale epoka młodości przeczuwać raczej każe poetę jakim się stał później, niż go w pełni wystawia.

Oprócz Strodtmanna, literaturę Hejnowską pomnożyły wspomnienia przez brata jego Maksymiliana świeżo ogłoszone w Berlinie (Erinnerungen an Heinrich Heine und seine Familie, von seinem Bruder Maximilian Heine. Berlin. Dümmler). Część ich ukazała się już wprzód w Gartenlaube i dała bardzo zajmujący obraz rodziny, a materiały ważne do charakterystyki pisarza i człowieka. Maks przywodzi mnóstwo drobnych rysów, anegdot, obrazków, niewydanych listów, notatek i szczególnie wyjaśnia stosunki rodzinne Heinego. Ale zarzucając biografom brata wiele dobrowolnych fałszów, na rachunek poety umyślnie lub lekkomyślnie rzucanych, nie uniknął sam pewnej stronniczości i apologetyki. Z tego wszystkiego razem tworzy się powoli coraz pełniejszy obraz człowieka, którego oryginalność długo jeszcze zagadkowym i żywo zajmującym czynić będzie. Z nowszych niemieckich poetów niema ani jednego, któryby tak wielką siłą atrakcyjną posiadał jak Heine, nietylko dla swych spółziomków, ale nawet dla najobojetniejszej Francji, już dziś posiadającej dzieła jego całe niemal w tłumaczeniu. Nie

daje ono ani w setnej części wyobrażenia formy w poezjach Heinego, ginie w niem cały urok języka, cały wdzięk słowa; ale szkielet myśli jest widoczny. Tém dziwniej może sterczą te suche kości tajemniczego widma, sarkastycznym skrzywione uśmiechem.

W C I S Z Y.

Słońce się zniża, niebo pogodne
I zwierciadlane jak szyby wodne,
A wieczór jak sen spokojny.
Dobry On w górze, dobry i hojny,
On bez nazwania, co ten świat nizki
Stroi jak dziecko własne
W srebrne obsłony, w szmaragdów błyski,
A rankiem w kwiaty jasne.

Dokoła wzgórza zieleniejące,
A w dole łąka — na gładkiej łące
Ciemniejsze łóz arabeski.
A wszędzie taki spokój niebieski,
Że mnie się zdaje że tu jest Eden,
Że w miejscu wczoraj stworzonym
Pierwszy żyjący stoję sam jeden
Pod szklanym niebios dzwonem.

Sam? sam tylko? — Dusza się zlekła
Tego sieroctwa... Ot muszka brzękła,
Ot, ptak poleciał przez liście,
Ot, ścieżka czeka na czyjeś przyjście;
A tam na polu ludzie bieleją,
Ot, i dolata ich śpiewka;
A tam po wzgórzu dymy się ścielą,
Ot, chata! ot, cerkiewka!

Pełno nas, pełno na Bożym świecie!
Jest z kim podzielić się szczęściem przecie,
Ile każdemu potrzeba
Znajdzie się w zdroju cieni i chleba;
Jednego Ojca jedne my dzieci,
Od muszki aż do człowieka,
I równo słońce dla wszystkich świeci,
I równa nam opieka.

Piękna ta ziemia i żyć w niej pięknie!
Aż iza się kręci, aż dusza mięknie,
Pełna miłości i zgody;
I świat ten pewnie tak jak ja młody
I miłujący i jak ja zgodny.
I czuje rozkoszy dreszcze,
W czyste natchnienia nazawsze płodny,
Jak moje serce wieszczę.

Kornel Ujejski.

POMIĘDZY SCYLLĄ A CHARYBDĄ.

POWIEŚĆ

przez

Waleryą Morzkowską.

(Dalszy ciąg).

W tej chwili na schodach wiodących od miasta ukazała się smutna postać Niny. Emilia ujrzała ją i pobięła ku niej, objęła dziewczynę i przytuliła do siebie jej twarzyczkę, jej puki rozrzuconych włosów, jakby chciała rozgrzać pierś stygnącą i bronić się przeciw wątpieniu. Kalikst popatrzył na nią w milczeniu, z rodzajem wyższości, i z wolna szedł za niemi, lekko wzruszając ramionami. W wyrazie jego twarzy malowało się coś nakształt pogardy dla tej kobiety, która nie potrafiła przyjąć odrzuconych teorii jego, a jednak szedł, pociągnięty jej urokiem. Znać chociaż ta chwila omyliła nadzieję jego, nie tracił jej na przyszłość. Emilia kierowała się z Niną ku miastu, i wdzięczna grupa jaką tworzyły rysowała się przed nim na szafrowym tle przestrzeni. Kobieta obejmowała dziewczynę macierzyńskim ruchem; dziewczyna garnęła się do niej pieszczotliwie, miłośnie. Mimowolnie wdzięk ich i harmonia uderzyły Kaliksta. Było to wszystko co ukochał dotąd, co mógł ukochać.

Wieczorem dnia tego w hotelu pod łabędziem stały trzy postacie w oknach wychodzących na jezioro, w którego kryształowej tafli przeglądał się księżyc w pełni i blade, blaskiem jego przygaszone gwiazdy. Jezioro ześrodkowywało ich wzrok i myśli, i jak wszystko piękne, budziło marzenie. Więc marzyli.

— Gdybym chciał, takie było marzenie Kaliksta, ta piękna kobieta kochałaby mnie.

Jest dziwna słodycz w przeświadczeniu o własnej potędze; bez wielu rzeczy upragnionych obejść się można, wiedząc że tylko wola własna od nich oddziela. Ale tu następowało z kolei pytanie: wartoż chcieć? wartoż tę nową nić płatać w życie już i tak burz pełne?

Więc na szali rozumu ważył wszystko za i przeciw tej miłości. Z jednej strony kładł niepokoje i następstwa i lękał się, bo czuł w tej istocie ciepło serdeczne. Rozumiał że to co dla niego byłoby igraszką, zabiciem czasu, rozrywką w ciężkiej trosce, ona gotowa wzięć na seryo, i to właśnie stanowiło jej niebezpieczny urok.

Serce jego, rozbudzone przez Ninę, czuło jakąś potrzebę spólcucia; pragnął by kobieta usta rozgrzeszyły miłośnie przeszłość jego. Więc wahał się, puścił wodze pragnieniom i powściągał je, a w podobnych chwilach kto się waha, ten zawczasu jest zwyciężonym.

A ona stała o kroków kilka zaledwie od niego, przy drugim oknie, przedzielona ścianą tylko. Gorące czoło przyłożyła do zimnej tafli okna i nie myślała nic, tylko czuła jak ogarniała ją nowa potęga i nowe życie. Głos jego dźwięczał w jej uchu, krótka a bolesna powieść którą jej powierzył ogarniała ją. Serce jej otwierało się dla wszystkiego co on ukochał, a postać jego dumna snuła się przed nią w pomroce nocnej, w szafirze jeziora i w szafirze nieba. Pierś jej uderzała gwałtownie śród smutku i rozkoszy; zapominała o sobie i kochała go za to wszystko co cierpiał, co cierpieć kazał, za tę chmurę smutku na bladym czoło, za ten mdły, niezbadany uśmiech na ustach, za to wszystko czego w nim pojąć nie mogła, co w duchu nazywała wyższością, zawodem serca, a co naprawdę zwało się egoizmem tylko i przesytem.

A ponad nimi, ponad temi dwoma marzeniami, z których jedno było samolubne, drugie szlachetne, ale zawsze zamknięte w sobie, — górował Julian. I on patrzył na spokojny krajobraz, owinięty spokojnej nocy cieniem. Cisza świata spływała w pierś jego; siadł w oknie, oparł czoło na rękę i myślał. W samotności duch ten cierpiący, złamany, odzyskiwał swe prawa. Wzrok jego podnosił się ponad brudny świat, ponad powszednie sądy i małe namiętności jego, w sfery wszech-pogody. Odpoczywał, spoglądając na harmonię rządzącą materyalnym światem. A przecież i tutaj pojmował tej harmonii potrzebę i możliwość, gdyby błędy, omyłki, kary i zadośćuczynienia nie krzyżowały zawilich dróg ludzkości; gdyby co chwila na wspak postępu nie stawały tradycje, przekazane fałszy, źle skierowane siły, zatracone zdolności; gdyby świat z dobrą wolą szukał prawdy, a nie zasłaniał oczów przed światłem, które w spokojnej pogodzie świeci, czekając uznania, pomimo wszystkie mgły przesądów.

I ten człowiek samotny, co zaznał twarde życie i niemiłosiernych ludzi, zboleły a bez skargi, otwierał serce szeroko boskim pragnieniom i nadziejom sprawiedliwym, wierząc że one kiedyś ziścić się mogą i muszą. Zapominał o samym sobie; pierś jego biła bólem wszystkiego co się mgli, cierpi lub źle czyni, i pojęcie przyniosło mu na usta to najwyższe słowo ludzkości — przebaczenie.

Czas upływał i życia tych wszystkich ludzi płały się coraz bardziej. Nina patrzyła na Ireneusza i pod jego okiem rozwijała się jak roślina w słońcu; zdawała się kwitnąć podniesioną pięknnością, podbudzonym życiem, a on, urzeczony tą dziwną miłością której nie ukrywała wcale, kochał ją z siłą na jaką tylko zdobyć się mogło miękkie serce jego. Kalikst nie zdołał sterować tej miłości; Nina sama rozrządzała przyszłością swoją, przyszłością krótką, bo śmierć zdawała się zawsze zawieszoną nad jej młodą głową. Może też i w tém leżała tajemnica uczucia Ireneusza; on kochał ją tém bardziej, bo wiedział że stracić ją musi.

Kalikst był osamotniony; krótkie dni córki prze-

stały należeć do niego jednego, i węzeł łączący go z Emilią ściągał się z wolna opuszczeniem obojga, a jednak nie sformułował się wyraźnie. Na pozór pozostawali obojętnymi.

Tymczasem zbliżało się nieuchronne rozstanie; pierwsze chłodne dni zmuszały go powracać z córką do cieplejszych krajów. Ireneusz miał im towarzyszyć.

— A my czy zostaniemy w Lucernie? pytał Julian siostry, gdy byli sami w saloniku łączącym ich mieszkania.

Emilia nie odpowiedziała mu zrazu; potoczyła wzrokiem w około po tym pokoju, gdzie przeżyła krótkie ale pełne wrażeń chwile, po tém jeziorze, po niebie i ziemi pięknej jak marzenie, i zbliżyła się do brata, przycisnęła do niego, bo myśl że zostanie tu samą ścisnęła jęj serce.

— Jedźmy i my, wyrzekła.

— Dokąd? spytał badawczo.

— Dokąd? odparła z rumieńcem. Ja nie wiem sama.

— Czy pragniesz wrócić do kraju?

— O nie, nie, zawołała. Wszędzie gdzie chcesz, byle nie tam!

Julian domyślał się może gdzie jechać pragnęła, ale nic nie mówił i czekał. Nie doczekał się jednak odpowiedzi. Emilia milczała, z głową wspartą na rękę; nie miała z czém zwierzyć się bratu. Są pragnienia, których nie chcemy wypowiedzieć nawet samym sobie. Zresztą położenie jęj było nieokręślone i wszystkie jęj władze skupiały się w to jedno pytanie: „czy on mnie kocha?” Na to właśnie odpowiedzieć nie umiała. Przypominała sobie spojrzenia jego raz płomiennie, to znów chłodne, roztargnione i nie umiała tych sprzeczności wytłumaczyć sobie. On sam raz był dla nięj wylany, serdeczny, to znów obojętny zupełnie. Czemu? nie mogła tego zrozumieć i niepokoju pełna, z drżeniem serca myślała o tym człowieku, który nie zdając się starać o to, zagarnął całą jęj istotność, a dotąd nic nie dał w zamian. Dawniej pytała samęj siebie, czy mogła kochać Ireneusza, bo nie wątpiła nigdy o uczuciach jego; dziś, zawiedziona, nie potrzebowała o nic pytać siebie. Niepokój ducha był dla nięj nadto wyraźnym; myśl jęj przyrosła do Kaliksta, i w chwili gdy rozdzielić się mieli, uczucie to objawiło się z płomienną siłą. A on, on spokojny, z rodzajem dumy patrzył na nią i badał resztki swego zwiędłego serca, badał czy jeszcze wzruszenie jakie rozmarzy go choć na chwilę, czy żal mu będzie porzucić ją, czy ona przeniesie to rozstanie. Dla nięj w tych pytaniach drgało życie całe; dla niego była to tylko przemijająca zachcianka, kaprys zużytego serca, które spotkało naraz to wszystko, w co straciło już wiarę. Jednak oboje potrzebowali zobaczyć się, pożegnać lub zrozumieć, i spotkali się w wieczornej przechadzce nad brzegami jeziora.

Wieczór był smutny. Słońce zachodziło krwawo, a księżyc na nowiu zczerwieniony wisiał ponuro w zamglonym powietrzu. Wiatr świsiał w szczelinach skał, marszczył powierzchnię jeziora i rzucał zeschłymi liśćmi, które szeleściły pod stopami, przypominając zimę. Fala po fali z głuchym łoskotem rozbijała się konając na brzegu. Emilia, otulona ciepłym szalem, szła z wolna. Myśli jęj zamglone były jak niebo; słoneczne chwile uleciały z jęj ducha i został tam tylko cichy smutek, harmonizujący z tą smutną godziną. Zbliżała się już do miasta, przyśpieszając kroku, zniechęcona, jakby ją omyliła nadzieja jaka—gdy na jęj drodze stanął Kalikst. Nie potrzebowała podnieść oczów: wiedziała że to był on, poznała chód jego, cień rysujący się na świetle księżyca, odgadła nawet wyraz jego twarzy wpół smutny, wpół badawczy, bo nie śmiała spojrzeć mu w oczy.

Pomiędzy nimi nie zaszło nic, a jednak nie mogła powitać go po dawnemu: jęj własne myśli stawały pomiędzy nimi i zmieniały jęj obejście, dawniej tak swobodne i przyjazne.

On zanadto znał serce ludzkie, zanadto wprawnie czytał w jęj przezroczyściej duszy, by się omylił na znaczeniu jęj wahania, na drżeniu głosu przy prostém słowie powitalném. Stał naprzeciw nięj, patrząc

w jęj czoło schylone przed nim, szkarłatne, z uśmiechem zwyciężkim.

— Czy nie zechcesz pani przejść się jeszcze trochę? zapytał podając jęj ramię.

W milczeniu wsparła się na niém, a on, nie czekając odpowiedzi, pewny z góry jęj przyzwolenia, zawrócił się od miasta i prowadził ją dalej. Serce jęj biło gwałtownie, tak że ręka drgała za każdym krwi obiegami. Szli razem przez chwilę; on nie zdawał się zważać na to, ale wpatrywał się w krajobraz otaczający, który pod tchnieniem wiatru ożywiał się tajemniczym życiem i szemrał pieśń jakąś niezrozumiałą, niewyraźną.

— Patrz pani, rzekł po chwili, głosem w którym dźwięczało tłumione wzruszenie,—jak wyrazista jest ta miejscowość, jak smutną przybrała barwę! A przecież widziałem ją tak niedawno wesołą, promienną. Ona mieni się jak twarz ludzka i żal mi ją porzucać, jak dawną, dobrą znajomość, którą nie wiem kiedy zobaczę; żal mi, jak gdybym nową kartę przerzucił w księdze życia.

Emilia podniosła głowę, urażona tym bezosobistym smutkiem, który zwracał się do martwych miejsc, nie do ludzi. Może on to powiedział umyślnie, chcąc doprowadzić ją do wybuchu, może traf tylko przyniósł mu te słowa na usta, traf który czasem bywa rozumniejszy od ludzi, a złośliwy jak oni.

— Zapewne, odparła, chwytając w lot porównanie jego, pilno panu coprędeż tę kartę życia odwrócić. Cóż nudniejszego jak rzecz znana, nie zawiązująca żadnej nowości.

— Nowości! powtórzył ze zwykłą sobie lekką ironią. Nic nie jest nowém i wszystko jest nowością, stosownie do punktu widzenia, do świeżości myśli, do jakiejś odśrodkowej siły, złożonej w nas samych. Nieprawdaż pani?

— Alboż ja wiem, odparła niecierpliwie, z pewną goryczą. Nie pojmuję gonienia za nowością, nie pojmuję jak można znudzić się szczęściem, porzucać miejsce gdzie nam jest dobrze.

— Życie unosi nas swoim prądem.

— Prąd unosi tylko niedołączonych; nie zgodzę się nigdy na te niby konieczności, którym poddają się istoty bez siły i hartu.

— Dotąd nie zgodziłaś się pani, wyrzekł z dziwną łagodnością, patrząc z uśmiechem w jęj oczy iskier pełne; dałby Bóg byś mogła zawsze zapanować nad niemi. Ale nie potępij zbyt niemiłosiernie zwyciężonych tego świata—oni cierpią!...

— Ja nie potępiam nikogo, odparła z żywością; tylko nie rozumiem...

— Daj Boże byś nie zrozumiała nigdy, pochwycił. Emilio! jak piękną, jak świętą jest młodość twoja i ta wiara młodości!

Te słowa wyrwały mu się mimowolnie prawie z głębi serca. Było w nich uwielbienie wybuchające i rodzaj zazdrości. W tęg chwili zapomniał o wszystkiém, o formach i wymaganiach świata; a jednak ona nie mogła obrazić się o to, ani wziąć tego za słowo miłości. Widocznie między nimi było coś więcej niż towarzyski stosunek; ale na pytanie drgające w głębi jęj serca: „czy on mnie kocha?” nie była to jeszcze odpowiedź.

— Co pan nazywasz młodością? spytała drżącym głosem.

— Co? niezachwianą wiarę w siebie i gotowość do walki, siłę pragnień, wytrwałość nadziei, bogactwo myśli i bogactwo serca.

— I cóż ztąd? wyrzekła głucho. Czy mnie to obroni od zawodu i cierpienia? czy siła pragnień da mi ich ziszczenie?

I spojrzała na niego rozżalonym wzrokiem; łyzy bezświadomie płynęły po jęj twarzy, ból tłumiony długo, w tęg chwili był silniejszym od nięj.

A on rzekł smutnie:

— Ziszczenie pragnień, to już ich rozwianie. Chwila ta zawsze zbyt prędko nadejdzie.

— Dlaczego?

— Bo wyobraźnia nasza bogatszą jest od rzeczywistości. Utracamy jęj rozkosze, skoro wcielić się może; wtém leży wielka harmonia świata. Sprawiedliwość rządząca nim złała na ludzi rozmaite dary wykluczające się wzajem; jednym dała pragnienia,

drugim użycie. Któż będzie dość śmiały by zawyro-kować co lepsze z dwojga?

Patrzyła na niego zdziwiona, jak gdyby odchyłał przed nią zasłonę swego ducha. Te słowa tłumaczyły jęj wiele sprzeczności, były niejako kluczem do zrozumienia tego zagadkowego człowieka. Czula w nich chłód jakiś, rozwiwający jęj wątłe nadzieje, ale dlaczego? z tego sprawy sobie zdać nie umiała dokładnie i próbowała buntować się przeciw teoryom, których serce jęj przyjąć nie chciało.

— Ja nie rozumiem tego, wyrzekła. Są słuszne pragnienia, odpowiadające potrzebom i prawom naszym, a pan mówisz o chorobliwych zachciankach istot znudzonych i przeżytych.

— A gdzie oznaczyć pomiędzy niemi granicę? zapytał smutnie, jaki wynaléć na nie kamień probierczy?

— Właśnie w ich spełnieniu, odparła z zapalem...

— Więc rozpoznajemy jezapózo, gdy nieczas się wracać, lub wracać potrzeba śród łez i cierpień sprawionych.

— Nie sądeż by szczere serce omylić się mogło, by ten co bada siebie sumiennie, nie rozróżnił fantazy od uczucia.

Nastało pomiędzy nimi milczenie długie. Oboje nie wiedzieli jak je przerwać. Słowo nie wymówione dotąd, zdawało się zapisane przed ich oczyma ognistemi głoskami w mroku wieczornym.

— Emilio! wyrzekł w końcu Kalikst, dziwnie miękko, dziwnie wzruszonym głosem, gdybym powiedział że kocham cię, czy uwierzyłabyś mnie?

Fala krwi ścisnęła jęj serce i wzrok zamglila przez chwilę. Wszystko zawirowało w jęj myśli, gdy usłyszała z ust jego to proste wyznanie. Ale nic nie odpowiedziała; zbrakło jęj tchu i głosu, tylko ogarniało ją uczucie niewysłowionęj błogości.

Czy uwierzyłabyś mi? powtórzył, nachylając się ku nięj i widząc przy gasnącym blasku księżyca jak była bladą, chwiejącą.

Drugi raz powtórzone pytanie oprzytomniło ją nagle i nakazując gwałtem milczenie rozszalałemu sercu, wyrzekła:

— Spytałem sumienia twego, Kalikście, czy powinienam ci wierzyć?

Podniosła na niego oczy tak jasne, tak ufne, tak szczere, że nie miał odwagi odpowiedzieć; uczuł że tutaj kłamstwo byłoby podłością i po raz pierwszy może milczał, spoglądając w siebie.

— Kalikście, pochwyciła Emilia, tłumiąc ból sprawiony tęg milczeniem, posłuchaj mnie, zanim odpowiesz. Ty nie znasz mnie dotąd.

On chciał jęj zaprzeczyć, ale ona przerwała mu szybko, gwałtownie.

Ty nie wiesz nic o mnie, prócz tego że życie uskąpiło mi darów swoich, że błąkam się samotnie po świecie, szukając ich napróżno. Ale czy wiesz jakiej siły są bicia mego serca, jakiej miary pragnienia?

— Chcesz być kochaną, Emilio, to pragnienie każdej kobiety.

— Chcę być kochaną, tak jest, ale miłością równą tęg jaką dać mogę. Ja gardzę temi półuczuciami bez jutra, temi namiętnostkami chwili, co podnoszą się i opadają za lada wiatru powiewem, jak marna piana jeziora. Oddałabym ci życie całe z wiarą że ci słowa nie złamię, ale nawzajem żądam życia całego. Nie chcę kryć się, kłamać, udawać; śmiało przed światem wyznam miłość moję, a jeśli świat nazwie ją winą, jeśli uświęcić jęjnie zechce prawem swoim, to gotowa jestem przyjąć potępienie jego hardém czołem, ale nie unizę się nigdy we własnych oczach. Tyś mnie powiedział, Kalikście, żeś zbyt dumny na kłamstwo; powiedz słowo, a wierzyć ci będę.

I gdy to mówiła, była piękną jak nigdy nie widział jęj dotąd. Po raz pierwszy serce jęj wezbrane wybuchło nazewnątr: stanowczość chwili, wzruszenie, wzrok jego może, wszystko nadawało jęj jakąś odrębną cechę; jaśniała prawdą, zapalem, miłością. A jednak on milczał; czuł się w obowiązku powiedzieć jęj prawdę, a prawda ta była gorzką. On kochał ją, ale nie tak jak ona pragnęła. Mogłże ślubować jęj jutro, on co w to jutro nie wierzył?

(Dalszy ciąg nastąpi).